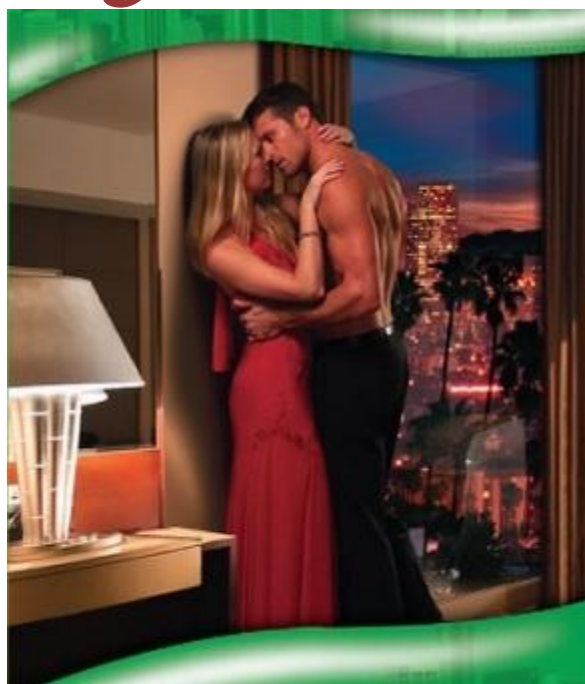




Kelly Hunter



Spotkanie w Singapurze

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Madeline Mercy Delacourte lubiła patrzeć na męskie ciała, oczywiście najbardziej na te młode i muśnięte słońcem, a w Singapurze ich nie brakowało. Zadbani starsi mężczyźni też przyciągali jej wzrok, pod warunkiem jednak, że nie eksponowali zbyt go-
lizny.

Mężczyzna z obnażoną klatką piersiową kojarzył się jej z wojownikiem. Lubiała pa-
trzeć na wszystkich, i na tych, którzy nosili z wdziękiem luźne tradycyjne szaty *gio*, i na
tych, którzy znużeni gorącą i parną pogodą zdejmowali koszulę. Ich gładka skóra cieszy-
ła oczy, o ona dobrze wiedziała, gdzie szukać takich przyjemności.

Właśnie teraz patrzyła na dwóch wojowników w małym dojo w samym sercu chiń-
skiej dzielnicy.

Pierwszym był Jacob Bennett, kruczoczarny Australijczyk o oczach koloru stali.
Przyjechał do Singapuru w tym samym czasie co Madeleine, ponad dziesięć lat temu.

Madeline i Jacob dobrze się rozumieli. Obydwoje wiedzieli, jak walczyć o swoje.
Jeśli nawet Jacob miał jakieś słabości, Madeline nigdy nie miała okazji ich zauważyć.

Natomiast jego przeciwnika widziała po raz pierwszy w życiu. Niższy od Jacoba,
miał bardzo podobną sylwetkę, odcień włosów i karnację. To na pewno jego brat lub ku-
zyn. Z pewnością również był biegły w sztukach walki, bo radził sobie równie dobrze jak
Jacob.

Walczyli na kije. Obydwaj mieli w sobie wdzięk tancerzy i zaciekłość Merliona,
symbolu Singapuru, ale Jacob wydawał się zrobiony z lodu, a jego przeciwnik z ognia:
walczył w sposób mniej opanowany, zupełnie nieprzewidywalny, chwilami wręcz lek-
komyślny.

Madeline miała słabość do nieobliczalnych wojowników.

Jacob zauważył ją i skrzywił się. Posłała mu pocałunek.

- Czy to on? - zapytał obdarty wyrostek stojący obok niej.

- Tak.

- Hm, raczej nie ucieszył się na nasz widok.

- Przejdzie mu.

Przeciwnik Jacoba chyba usłyszał tę rozmowę, bo również spojrzął w ich stronę. Popenił poważny błąd, bo już w następnej chwili leżał na plecach, powalony uderzeniem Jacoba. Zaraz jednak wykorzystał chwilową dekoncentrację przeciwnika i po chwili obydwaj leżeli na macie. Każdy z nich zaciskał ramię na szyi drugiego.

- Chyba jest zajęty - zauważył chłopak. - Może przyjdziemy później?

- Jeszcze czego! Miałabym stracić taki widok? - zaśmiała się Madeline i stukając obcasami o drewnianą podłogę, podeszła do walczących. Przykucnęła obok nich i dźgnęła paznokciem spocone ramię nieznajomego. - Przepraszam, że przeszkadzam. Cześć, Jacob. Masz chwilę?

Tajemniczy nieznajomy miał wyraziste, bursztynowe oczy. Spojrzął na Madeline z niedowierzaniem, rozluźniając uścisk na gardle Jacoba, który podniósł się i uniósł dłonie w geście poddania. Madeline z uśmiechem wyciągnęła rękę do jego przeciwnika.

- Madeline Delacourte. Większość ludzi nazywa mnie: Maddy.

Oczy wojownika rozjaśniły się w czarującym uśmiechu. Przetoczył się na bok i ucisnął jej dłoń.

- Luke Bennett.

- Brat? - Gdy skinął głową, Maddy dodała: - Tak myślałam. Bardzo dobrze pan walczy. Który z was zwykle wygrywa? A może obydwaj tracicie przytomność w tej samej chwili?

- To zależy - odrzekł Luke. - Ja potrafię dłużej wstrzymać oddech.

- To się przydaje - mruknęła Madeline. - A na czym polega przewaga Jacoba?

- Jest bardziej uparty. Ale o tym pewnie pani już wie.

Madeline uśmiechnęła się przełomie i dla odmiany skupiła wzrok na Jacobie.

- Słyszałam, że szukasz nowego ucznia.

- Źle słyszałaś. - Jacob zerknął na Po, niepewnie stojącego przy drzwiach. - Poprzedni uczeń, którego mi znalazłaś, wyniósł stąd wszystko, co nie było przybite.

- Przecież oddał - westchnęła. - A potem chyba z dziesięć razy zdobył dla ciebie tytuł mistrza Azji.

- No tak - mruknął Jacob zgryźliwie. - Potem namieszali mu w głowie filmowcy z Hongkongu.

- Skoro tak... Tym bardziej przyda ci się nowy uczeń. - Madeline uśmiechnęła się promiennie. - Po, podejdź tu i poznaj senseia.

Po podszedł do nich ostrożnie. Miał niewiele ponad dziesięć lat i był nieduży jak na swój wiek. Madeline nie wiedziała, jak brzmi jego nazwisko. Dotychczas żył na ulicy i dopiero od niedawna zaczął wierzyć, że można żyć inaczej.

Jacob westchnął ciężko.

- Dlaczego ja?

- Bo jesteś dobrym człowiekiem - odrzekła Madeline. - I jedynym, którego nie ze-
chce okraść.

- Daj sobie wreszcie spokój. Nie uratujesz ich wszystkich, Maddy.

- Wiem. Po jest kieszonkowcem. Pracował na Orchid Road. Naraził się pewnym
bardzo niebezpiecznym ludziom, dlatego musi stamtąd zniknąć.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Jacob skupił uwagę na Po. - Chcesz się nauczyć kara-
te, mały?

- Chcę żyć.

- Trudno z tym dyskutować - wtrącił Luke Bennett pogodnie.

- To sam się nim zaopiekuj - mruknął jego brat.

- Niestety nie mogę. - Usta Luke'a wygięły się w uśmiechu. - To ty jesteś porząd-
nym obywatelem, a ja zwykłym bezdomnym. Czego mógłbym go nauczyć?

- A czym się zajmujesz? - zapytała Madeline.

- Przeważnie oglądam miny morskie i inne elementy uzbrojenia.

- I to na ogół tuż przed wybuchem - wtrącił Jacob sucho. - Zapewne nie pożyje
długo.

- Czym byłoby życie bez ryzyka? - odparował Luke.

Zerknął przelotnie na Madeline i uśmiechnął się leniwie.

- Chodź, mały - westchnął Jacob, idąc w stronę drzwi na drugim końcu pomiesz-
czenia. - Mogę ci zaproponować pokój z łóżkiem, poduszkę, jedną zmianę pościeli, trzy
posiłki dziennie i stawkę poniżej minimalnej. W zamian wymagam lojalności, posłuszeń-
stwa i oddania. Jeśli cię to nie interesuje, to wyjdź tymi samymi drzwiami, którymi tu
wszedłeś.

Nawet nie odwrócił się, by sprawdzić, czy Po idzie za nim. Znał dzieciaki z ulicy i wiedział, że chłopak pójdzie, choćby tylko po to, by sprawdzić, co mógłby stąd ukraść. Luke Bennett patrzył na tę scenę, nie kryjąc niechęci, ale też dumy.

- Często mu to robisz? - zapytał, spoglądając na Madeline.

- Dość często.

- I zostają?

- Dość często.

- Czy jesteś zakochana w moim bracie?

- To osobista sprawa. Dlaczego pytasz?

- Jake zazwyczaj gra twardego człowieka, a przed tobą niczego nie udaje.

Madeline potrząsnęła głową.

- A co byś zrobił, gdybym powiedziała, że go kocham?

- Rozpaczalibyśmy.

- Czuję się zaszczycona, ale z drugiej strony, właśnie takiego zachowania oczekiwałam po bracie Jacoba. Powiedz mu, że muszę już iść.

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

Zastanawiała się przez chwilę. Wiedziała, że to pytanie jest deklaracją zainteresowania, zaproszeniem do gry. Od sześciu lat, od śmierci Williama, miała tylko jednego kochanka, ale nic dobrego z tego nie wynikło. Bardziej chodziło jej wówczas o pociechę płynącą z intymności niż o uczucie, zaś jej wybranek szukał kobiety, którą mógłby szanować i czcić. Zastanawiała się, czego może szukać u kobiety Luke Bennett. Namiętności? Już od dawna niczego podobnego nie zaznała. Dobrej zabawy? Na to było ją stać. Szczerości? To też mogła mu dać.

Pozostawał jeszcze szacunek, jednak z tym może być różnie.

- Jak długo zamierzasz zostać w Singapurze? - zapytała.

- Tydzień.

- To niezbyt długo.

- Wystarczy. Przy odrobinie wysiłku w ciągu tygodnia można przeżyć wiele rzeczy - stwierdził z uśmiechem. - Wciąż nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie chcę odpowiadać. Co warte jest życie bez tajemnic?

- Nie lubię tajemnic. Potraktuj to jak ostrzeżenie.

Trudno było się nie uśmiechnąć.

- Życzę ci przyjemnego pobytu w Singapurze. W tym mieście można znaleźć wiele rozrywek.

- Z pewnością - wymamrotał.

- A także wiele rzeczy, których lepiej unikać. - To również było ostrzeżenie.

Z lekkim uśmiechem Madeline obróciła się na pięcie i wyszła.

- Na czym opiera się twoja znajomość z Madeline Delacourte? - zapytał Luke brata piętnaście minut później, gdy wrócili do treningu. Tym razem przyglądał im się Po. - Jesteś nią zainteresowany?

- A co cię to obchodzi? - odparował Jake i wymierzył szybki cios w bok brata.

Luke zamilkł i skoncentrował się na obronie, ale oczami wyobraźni wciąż widział Madeline Delacourte. Ten cudowny wszyszkowiedzący uśmiech, włosy w kolorze miodu i smukłe, zgrabne nogi.

- A jak sądzisz? Nie proszę cię przecież, żebyś mi oddał nerkę. Chodzi tylko o krótkie „tak” lub „nie”.

- Nie - odrzekł Jake, blokując jego następne uderzenie. - Po prostu się przyjaźnimy.

- Czy ona jest mężatką?

- Już nie.

- Zaręczona?

- Nie.

- W związku?

- Nie. - Kij Jake'a prześliznął się po kostkach dłoni Luke'a. - Madeline jest wybredna. Może sobie na to pozwolić.

- Jest bogata?

- Bardzo. Rodzina jej nieżyjącego męża handlowała przyprawami. To byli Brytyjczycy, przyjechali tu, gdy otworzył się handel ze Wschodem. Dorobili się majątku i ulokowali większość pieniędzy w nieruchomościach. Mąż Maddy był właścicielem sieci

centrów handlowych i hoteli przy Orchard Road oraz połowy apartamentowców w południowo-wschodnim Singapurze. Teraz to wszystko należy do niej.

- Jej mąż zmarł młodo?

- Jej mąż zmarł jako szczęśliwy starzec.

Luke skrzywił się.

- A dzieci?

- Nie ma dzieci. - Kolejne ciosy sięgnęły celu. - Skup się - mruknął Jake.

- Próbuję pogodzić się z myślą o pięknej kobiecie związanej ze starcem.

- Może go kochała?

- O ile był od niej starszy?

- O trzydzieści lat - odrzekł Jake. - Myśl o tym, co chcesz.

Luke skrzywił się ponownie i zasypał brata ciosami, próbując wytrącić mu kij. Madeline Delacourte bardzo go rozczarowała, dlatego musiał znaleźć ujście dla swojej frustracji i agresji. Na chwilę walka przestała być zwykłym treningiem. W końcu przeklął swój brak samokontroli, opuścił kij i skłonił się, sygnalizując koniec treningu.

- Przepraszam - wymamrotał, idąc w stronę drewnianej ławki, na której leżała ster-ta ręczników.

Jake zamienił kilka słów z Po i dopiero gdy chłopak z wahaniem pokiwał głową i wyszedł, spojrzał na brata. Luke odwrócił twarz. Sam nie wiedział, czy obawia się zobaczyć w oczach Jacoba potępienie czy zrozumienie.

- Powiesz mi, o co chodzi? - zapytał Jake.

O dziesięć lat życia pełnego rygorów i obcowania z niebezpieczeństwem. O to, że nigdy się nie ustatkował i nie spędził w żadnym miejscu więcej niż kilka miesięcy. O niepokój, który narastał w nim od dawna, a którego chętnie by się wreszcie pozbył.

- Zmieniłem zasady w połowie walki. Nie powinienem tego robić, dlatego przerwa-łem. Nikomu nic się nie stało. Czy to wytłumaczenie cię zadowala?

- Pozwoliłeś, żeby gniew przejął nad tobą kontrolę - odrzekł Jake. - Straciłeś we-wnętrzny punkt równowagi.

Luke nie miał żadnego wewnętrznego punktu równowagi. Po tym, czego był świadkiem w ciągu ostatnich lat, nie był nawet pewien, czy ma jeszcze duszę. Myśl, że

Madeline Delacourte, opiekunka zbłąkanych uliczników, sprzedała się za pieniądze, paliła go żywym ogniem. Pragnął choć raz spotkać anioła miłosierdzia, a nie mroczne widmo.

- Kiedy przyjąłeś ostatnie zlecenie? - zapytał Jake.

- Parę tygodni temu.

- Masz pieniądze?

- Owszem, akurat tego wcale mi nie brakuje. - Luke wykonywał dobrze płatną pracę.

Oczywiście nie mógł się równać z Madeline Delacourte, ale miał zabezpieczony byt do końca życia.

Jake otworzył usta i znów je zamknął. Jego twarz przybrała bolesny wyraz.

- To wszystko przez twoich braci - wymamrotał.

- Co?

- To. Mam nadzieję, że nie jesteś zakochany.

Luke spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Co takiego?

- Nie czujesz nieodpartej chęci, żeby zadzwonić, odwiedzić albo posiąść jakąś jedną, konkretną kobietę? - zapytał Jake ostrożnie.

- Nie.

- To dobrze. Więc na czym polega problem?

- Sam nie wiem. - Luke nawet nie próbował owijać w bawełnę. Jego starszy brat miał w sobie coś, co zmuszało do szczerości. - Po prostu kiedy zbyt długo żyjesz w cieniu śmierci, stajesz się innym człowiekiem. Popatrzyłem na Madeline Delacourte i zobaczyłem piękno nie tylko w formie, ale również w treści. Jednak teraz, gdy już coś o niej wiem... No nic, tak to jest, gdy ideał sięga bruku.

- W Maddy jest dobro. Świadczą o tym wszystkie dzieciaki, które wyciągnęła z rynsztoka. Odważnie stawia czoło ciemnym stronom tego miasta. To piękne działanie. A jeśli chodzi o małżeństwo, które miało jej zapewnić lepsze życie... może tak było, a może nie. To nie moja sprawa. I to nie czyni z niej dziwki.

- Jednak nie świadczy o niej najlepiej.

- A co ci do tego? Kobieta-anioł doprowadziłaby cię do szafu najdalej w tydzień.

- Możliwe. Jednak chciałbym uzyskać dowód, że takie kobiety istnieją.

- Gdy jakąś znajdę, dam ci znać - mruknął Jake ze zjadliwą ironią. - Tymczasem radziłbym ci szanować Madeline Delacourte za to, kim jest. A jest inteligentną i wielkoduszną kobietą. Wśród tutejszej elity ma więcej wrogów niż przyjaciół, bo robi to, czego oni nie robią - przekazuje mnóstwo pieniędzy na programy pomocy dla biednych i bezdomnych. Potrafi pobrudzić sobie ręce i nie osądza ludzi po pozorach ani po tym, kim byli w przeszłości.

Luke znów się skrzywił. Skoro Jake bronił tej kobiety, musiało coś w tym być. Anioły pojawiały się tylko w baśniach. Rzucił ręcznik na ławkę.

- Zrozumiałem aluzję. Chyba jeszcze trochę tu zostanę i poćwiczę.

Jake zerknął na niego z ukosa.

- Możemy jeszcze powalczyć. Tym razem tak, jak na ulicy. Bez kijów, pełny kontakt.

- A jeśli zrobię ci krzywdę? - zapytał Luke niechętnie, choć miał wielką ochotę przyjąć tę propozycję.

- Nie zrobisz - uśmiechnął się Jake - ale spróbuj.

Luke w pełni wykorzystał przyzwolenie brata na rozładowanie gniewu i w kwadrans później, gdy obydwaj ciężko dyszeli i ociekali potem, poczuł wreszcie, że jego napięcie zaczyna opadać. Po dwudziestu minutach wyraźnie przegrywał. Zeszli do parteru i karate zmieniło się w zapasy. Jeszcze jeden cios łokciem w splot słoneczny i Luke poddał się.

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej - powiedział Jake, ocierając usta wierzchem dłoni. - Bo ja o wiele gorzej.

Luke spróbował usiąść, jęknął i zrezygnował. Pozycja płasko na plecach nie była taka zła, miał przynajmniej ładny widok na sufit. Odsunął dłoń Jake'a, która pojawiła się w jego polu widzenia.

- Idź stąd. Medytuję.

- Ty? Medytujesz? - Jake doskonale wiedział, że medytacja nigdy nie była mocną stroną jego młodszego brata. Luke potrafił wejść w stan absolutnej koncentracji jedynie przy rozbrajaniu pocisków. - Nad czym?

- Nad pajęczyną. Wisi tam na lampie.

- Medytacja nad pajęczyną nie jest zła. Pajęczyna może doprowadzić cię do sedna wszechrzeczy i ujawnić ukryte prawdy. Ale może lepiej byłoby, gdybyś zamknął oczy i przestał trzeć powieki.

- Perfekcjonista - mruknął Luke, ale posłusznie zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać.

- Co widzisz? - zapytał Jake.

- Powieki od środka.

- Skup się.

- Wiem, wiem. Staram się. Pozwalam myślom płynąć swobodnie.

- Dobrze. I co widzisz?

Luke widział twarz kobiety, jasną na tle mroku. Kobieta miała miodowe włosy do ramion, zielone oczy z czarnymi rzęsami i szerokie usta, stworzone do pocałunków.

Madeline Delacourte.

Otworzył oczy i szybko usiadł, nie zważając na ból, który przeszył jego bok.

- Co widziałeś? - powtórzył Jake.

Luke potrząsnął głową.

- Nic, o czym warto byłoby wspominać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Madeline miała zwyczaj odwiedzać swoich podopiecznych w dzień po tym, jak przyprowadziła ich do nowego miejsca zamieszkania. Po o zręcznych palcach znał wiele strategii przetrwania i wymagał teraz bacznej uwagi. Wiedziała, że jeśli Jake'owi uda się zatrzymać chłopca w dojo przez najbliższe dwa dni i pokazać mu jakiś cel, który pociągałby małego bardziej niż powrót do dawnego życia, to Po będzie miał szansę uniknąć losu dziecka ulicy. Pierwszy krok w wychodzeniu ze starego życia zawsze był najtrudniejszy. Po potrzebował tylko odpowiedniej zachęty.

Gdy weszła do dojo, Jacob prowadził zajęcia z kick boxingu. Na jej widok skrzywił się jak zwykle i ruchem głowy skierował ją na zaplecze. Znajdowało się tam kilka niewielkich pokoików, w których mieszkali goście i uczniowie, a od czasu do czasu także zbłąkany chłopiec z ulicy.

Znalazła Po w kuchence. Klęczał na okrągłym stole, wpatrując się uważnie w dziwny zestaw przyborów kuchennych, które leżały pośrodku blatu. Naprzeciwko niego stał Luke Bennett, tym razem, ku rozczarowaniu Maddy, całkowicie ubrany, i z pochyłą głową mówił coś niskim głosem. Pomiedzy nimi leżały jeszcze jakieś inne, dziwne narzędzia, jakich Maddy nigdy dotychczas nie widziała.

- Prawie gotowe - powiedział łagodnie Luke. - Spokojnie, jeszcze odrobinę... dobrze, Po, teraz. - Dłonie Po, trzymające mały przecinak do drutu, poruszały się bardzo pewnie nad kłębkiem kabli.

Luke odczepił od urządzenia srebrną sprężynkę i wsunął na jej miejsce kawałek czegoś, co wyglądało jak masa plastyczna. Obydwaj wyraźnie się rozluźnili i na ich twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy.

- Muszę przyznać, chłopcze, że masz pewne ręce - stwierdził Luke.

Po rozpromienił się. Maddy nie mogła oderwać oczu od stołu.

- Czy to jest bomba?

- Oczywiście, że nie. Co to za pytanie? - Luke wreszcie podniósł na nią wzrok. - To tylko imitacja detonatora podłączona do tosterka.

Otworzyła usta, ale nie wyszły z nich żadne słowa.

- Luke ustawił to tak, że tost się spali, jeśli nie rozbroimy detonatora na czas - wyjaśnił Po.

- A ten portfel w tosterze? - wyjąkała. - Co on tam robi?

Po jak zaczarowany wpatrywał się w popękane linoleum. Madeline stłumiła jęk.

- Po, czyj to portfel?

- Jake'a - wyjaśnił Luke. - Po właśnie planuje, jak odłożyć go z powrotem tam, skąd go wziął. Będzie mi bardzo wdzięczny, jeśli zachowam w tej sprawie milczenie. Problem polega na tym, że gdy włączę toster z portfelem w środku, Po będzie miał mniej więcej minutę, żeby rozbroić detonator, nie wysadzając toster. Jeśli nie zmieści się w czasie, to Jake na pewno zauważy, że portfel został przypalony.

Nadal nie wiedziała, co powiedzieć.

- No dobrze, mniejsza o te twoje wątpliwe metody pedagogiczne, ale czy nie sądzisz, że raczej nie należy uczyć dziecka, jak budować i rozbrajać zapalniki bomb?

- W zwykłych okolicznościach może miałabyś rację, ale spójrz na to inaczej - powiedział Luke głosem tak łagodnym, że miała ochotę go udusić. - Po jest kieszonkowcem. W tym fachu potrzebne są mocne nerwy i zręczne ręce, dlatego rozbrajanie bomb jest dla niego naturalnym, kolejnym etapem rozwoju.

- Uważasz rozbrajanie bomb za naturalny etap rozwoju? - zapytała z sarkazmem.

- Po pierwsze, to jest legalne.

- A czy wspomniałeś mu o tym, że jeśli popełnisz błąd, to giniesz?

- Owszem, wspomniałem. Jestem zwolennikiem szczerości.

- Jest wiele rzeczy, które w tobie podziwiam, ale nie wszystkie.

- A to pech - mruknął bez cienia żalu i zwrócił się do Po: - Koniec lekcji, mały.

Dobrze się zastanów, czy chcesz mieszkać z moim bratem na jego zasadach, bo mogę cię od razu uprzedzić, że u niego nie dostaniesz drugiej szansy. Jeśli zależy ci na łatwych pieniądzach, to lepiej wróć do zawodu kieszonkowca. Gdy dorośniesz, będziesz mógł się przyłączyć do prawdziwych złodziei i zostać bankierem inwestycyjnym - Luke zerknął z ukosa na Maddy - albo wybrać metodę sprawdzoną od wieków i ożenić się z bogatą dziewczyną. To nic niezwykłego.

- Teraz rozumiem, dlaczego twój brat tak lubi cię bić - mruknęła.

- Próbuje - sprostował Luke. - To spora różnica.

- Po, czy mógłbyś zostawić nas samych?

- Czy mogę najpierw wyjąć portfel?

- Później - rzekł Luke. - A jeśli ukradniesz Jake'owi coś jeszcze, to przysięgam, że będziesz czyścił podłogę dojo szczoteczką do zębów.

Po uśmiechnął się szeroko i zniknął.

- Czy twój pokój jest zamknięty na klucz? - zapytała Madeline słodko.

Luke zaklął i podszedł do drzwi.

- Zostań tutaj - powiedział i wskazał na stół. - Popilnuj tego, a ja zaprowadzę Po na zajęcia z kick boxingu.

- Ach te męskie umysły.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przestała gadać.

Maddy przesłała mu pocałunek.

- Teraz lepiej?

- Nie.

Uśmiechnęła się ze współczuciem i dopiero gdy Luke zniknął, poddała się ciekawości i przyjrzała urządzeniu na stole. W pięć minut później uznała, że rozumie już, w jaki sposób działa mechanizm detonacyjny.

- Powinnaś zapytać o pozwolenie, zanim zaczniesz się bawić męskimi zabawkami - powiedział aksamitny głos za jej plecami. - Nie są takie nieszkodliwe, jak się wydaje.

- Co by się stało, gdybym przecięła ten kabelek?

- Nic.

- A ten?

- Jeśli przetniesz ten, to twoje życie stanie się ciekawsze. Jake mówił, że jesteście tylko przyjaciółmi.

- Oho, a więc jednak boisz się, że ci przyłoży? - Madeline wzięła się w garść i popatrzyła mu w oczy. - Jake ma rację. Uważam go za przyjaciela i cieszę się, że on myśli tak samo o mnie.

Luke uniósł brwi.

- Nie wiedziałaś o tym?

- Nie jest łatwo przeniknąć myśli twojego brata. - Maddy szczerze współczuła każdej kobiecie, która zapragnęłaby zbliżyć się do Jacoba Bennetta.

- Obdarza uśmiechami i przyjaźnią bardzo oszczędnie, zupełnie inaczej niż ty.

- Czy to źle? - Uśmiech Luke'a przepelniony był słodyczą.

Jego ramię bardzo lekko otarło się o jej ramię. Wiedziała, że nie zrobił tego przypadkiem. Obrócił głowę i jego wzrok prześliznął się po jej twarzy, zatrzymując na ustach. Madeline z wysiłkiem skupiła uwagę na urządzeniu na stole.

- O czym to mówiliśmy?

- Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że powinniśmy trochę przyspieszyć, ponieważ zamierzam zostać tu tylko przez tydzień.

- Co przyspieszyć?

- Nasz pierwszy pocałunek. - Stali ramię w ramię. Luke wziął do ręki przecinak i ostrożnie obrócił detonator. Pod spodem znajdował się jeszcze tuzin kabelków. - Jeden z tych kabelków rozbroi detonator, nie wysadzając toster. Pytanie brzmi, który?

- Nie wiem.

- Chcesz zaryzykować?

- Nie. Zanim coś zrobię, wolę wiedzieć, co robię i dlaczego. Na przykład, dlaczego miałabym cię pocałować?

Luke pokiwał głową.

- To dobry przykład.

- Nie mam pojęcia, dlaczego miałabym całować mężczyznę, który mną gardzi. Gardzisz moimi pieniędzmi czy sposobem, w jaki je zdobyłam?

- Może nie wysłaś za mąż dla pieniędzy - powiedział, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - Może kochałaś swojego męża.

Maddy przez długą chwilę patrzyła w jego oczy, przypominające oczy tygrysa. Pokusa, by powiedzieć „tak”, była bardzo silna, ale nigdy nie kłamała i nie zamierzała robić tego teraz.

- Wyszłam za Williama Delacourte'a ze względu na poczucie bezpieczeństwa i poziom życia, jaki mógł mi zapewnić. Był dobrym człowiekiem, szanowałam go i nigdy nie

oszukałam. A jeśli pytasz, czy kochałam go, wychodząc za niego, to odpowiedź brzmi: nie.

Luke'owi ta odpowiedź wyraźnie nie przypadła do gustu. Madeline widziała w jego oczach mnóstwo pytań i... potępienie.

- Sypiałaś z nim?

- A czy ty kochałaś każdą kobietę, z którą sypiałaś?

- Nie - stwierdził równie chłodnym tonem. - Czy on wiedział, że go nie kochasz?

- Tak.

- Biedny dureń - mruknął Luke.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

- Tak. - Luke uśmiechnął się ironicznie. Wciąż stali obok siebie, oparci łokciami o stół. Ich twarze znajdowały się tak blisko, że wystarczyłoby, aby jedno z nich pochyliło głowę. - Czy jesteś pewna, że nie chcesz, żebym cię pocałował?

- Dlaczego miałabym tego chcieć, skoro nawet mnie nie lubisz?

- Nie mam pojęcia, ale spróbuj.

W jego obecności Maddy zaczynała pragnąć rzeczy, o których powinna zapomnieć. Nie zdejmując łokci ze stołu, przysunęła się bliżej i ich usta zetknęły się przelotnie. Luke nie poruszył się, czekał cierpliwie, aż Maddy zapozna się z ich dotykiem, i dopiero gdy zaczęła się odsuwać, przyciągnął ją do siebie, wplatając dłoń w jej włosy.

- Ile miałaś lat? - zapytał. - Ile miałaś lat, gdy za niego wyszłaś, Maddy? Czy w ogóle wiedziałaś, czego się wyrzekasz?

- Owszem. - Pocałowała go jeszcze raz, powoli i głęboko. Żałowała, że nie jest już młoda, naiwna i niewinna, ale nigdy taka nie była. Nie mogła sobie na to pozwolić. - Tak, dobrze wiedziałam, co robię, wyrzekając się miłości i namiętności w zamian za pieniądze i bezpieczeństwo.

Luke zaklął i odwrócił się.

- Nie mogę - powiedział i potrząsnął głową, jakby próbował uporządkować myśli. - Nie mogę.

- Czego nie możesz? Polubić mnie? To nic nadzwyczajnego. Już do tego przywykłam - odrzekła lekkim tonem.

- Nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałem. Lubię cię, i to bardzo.
- Możliwe, ale wolałbyś, aby było inaczej. - Obdarzyła go wyćwiczonym przez lata, chłodnym i kpiącym uśmiechem. - Do tego też już przywykłam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Luke nie próbował dyskutować z tym stwierdzeniem i Maddy musiała mu przyznać punkty za szczerość. Kolejne punkty dostał za to, że nie ruszył się z miejsca.

- Widzisz - powiedziała cicho - wydaje ci się że wiesz, kim jestem. Ja też wiem, kim ty jesteś. Jesteś uzależniony od adrenaliny. Pogodziłeś się z tym, że możesz zginąć młodo, służąc innym, bo co innego ci pozostało. Widać to w twoich oczach i ruchach. Nie zależy ci na życiu i nie wiesz nic o miłości. Nigdy nie kochałeś. Prosisz o pocałunek, ale gotów byłbyś zabrać mi serce i nawet byś nie zauważył, co zrobiłeś. Nie próbuj mnie osądzać, a ja nie będę osądzać ciebie.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni ktoś oskarżył Luke'a o błąd w osądzie. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że już wie, co myśleć o Madeline, ona udowodniała mu, jak bardzo się mylił. Oczywiście nie wszystko, co o niej wiedział, było złe. Pociągała go, a to już coś znaczyło, bo kobiety o zimnym sercu nie wydawały mu się atrakcyjne. Lubił takie, które zachowywały się swobodnie i nie przykładaly wagi do zobowiązań, ale musiały mieć gorące serce. To, że Jake cenił sobie przyjaźń Madeline, również było dla niego istotne. Jednak nadal nie mógł pogodzić się z myślą, że wyszła za mąż dla pieniędzy.

- Przeszkadzamy w czymś? - rozległ się męski głos. Luke z trudem oderwał wzrok od twarzy Maddy i przeniósł go na drzwi. - Możemy wrócić później - dodał Jake drwiąco. Obok niego stał Po.

- Lepiej zostańmy - powiedział Po szybko w mandaryńskim narzeczu, za którym Luke z trudem nadążał - bo oni wyglądają, jakby chcieli się pozabijać.

Jake pokiwał głową.

- Mnie też się tak wydaje.

- Miło widzieć, że tak szybko się zaprzyjaźniliście - powiedziała Madeline. - Chciałam tylko wyjaśnić, że nie mam zamiaru nikogo zabijać.

- Ja też bym jej pewnie nie zabił - mruknął Luke.

- Tydzień dopiero się zaczął - westchnął Jake. - Moim zdaniem byłoby najlepiej, gdybyście trzymali się z dala od siebie, ale moich rad i tak nikt nie słucha. A jeśli chodzi o Po, to jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy tu zostanie. Przyjdź jutro.

Madeline wzruszyła ramionami.

- Skoro mam się trzymać z dala od Luke'a, to lepiej nie będę tu przychodzić.

- Nie przejmuj się mną - wtrącił Luke. - Mam jutro parę rzeczy do załatwienia.

Jacob zatrzymał wzrok na twarzy Maddy.

- W takim razie jutro. Przyjdź koło południa, nakarmimy cię.

Z jakiegoś powodu myśl o rodzinnym lunchu nie przypadła Luke'owi do gustu. Wyszedł na korytarz, nie patrząc na brata ani na Madeline, i dopiero na ulicy zauważył, że ma towarzystwo w osobie Po. Gdy Luke przystanął, chłopiec również się zatrzymał.

- Czy to Jake kazał ci iść za mną?

Po rzucił mu ostrożne spojrzenie.

- Nie.

- To dlaczego tu jesteś?

- Bo ja też chciałem wyjść. Muszę przynieść parę rzeczy.

- Jakich rzeczy?

- Moich.

- Kradzionych?

Po patrzył na niego bez słowa. Trzeba było zadać to pytanie inaczej.

- Czy trafiłbyś do więzienia, gdyby ktoś cię złapał z tymi rzeczami?

- Nie, to tylko ubrania i parę singów. - Singi to były dolary singapurskie. - Nie przyniosę nic więcej.

Luke wolał się nie dopytywać, co jeszcze chłopak mógłby przynieść, zapytał więc tylko:

- W którą stronę idziesz?

- Na Bugis Street.

Stara część Bugis Street miała niegdyś opinię siedliska wszelkiego zła. W ostatnich latach władze miasta częściowo uporządkowały ten obszar, ale nie były w stanie zupełnie zwalczyć przestępczości.

- Maddy mówiła, że pracowałeś przy Orchid Road.

- Tak, ale mieszkam na Bugis Street.

Luke poczuł, że wcale mu się to nie podoba.

- Coś ci powiem, Po. Jeśli rzeczywiście chcesz zacząć wszystko od nowa, to powrót na Bugis Street na pewno ci w tym nie pomoże.

Po patrzył na niego w milczeniu. Jego ciało wydawało się o wiele za drobne na duszę, która w nim zamieszkiwała. Luke nie miał ochoty angażować się zanadto, w końcu przyjechał do Singapuru tylko na tydzień, zapytał jednak:

- Potrzebujesz towarzystwa?

- A pan? - odparował chłopiec.

Przeszli w milczeniu kilka przecznic. Po najwyraźniej nie czuł potrzeby rozmowy.

- Jak poznałeś Madeline? - zapytał w końcu Luke.

- Wyglądała na bogatą, miała torebkę od Prady i buty od Chanel, prawdziwe, nie podróbki, więc zwróciłem na nią uwagę.

- Okradłeś ją?

- Próbowałem, ale ona znała wszystkie sztuczki, zupełnie jakby umiała przeniknąć moje myśli. Zapytała, czy jestem głodny, zaprowadziła mnie do budki z jedzeniem, dała właścicielowi pięćset singów i kazała karmić mnie przez miesiąc.

- I wtedy przestałeś kraść?

- Nie próbowałem więcej jej okraść - wyjaśnił Po z godnością. - Przychodziła do tej budki co poniedziałek.

- A potem, kiedy ten miesiąc się skończył?

- Nigdy się nie skończył. Stary Cheung powiedział, że zapłaciła za następny miesiąc i że mogę nocować w jego sklepiku pod warunkiem, że rano pomogę mu wszystko przygotować. Ma trzech wnuków, ale oni ruszają się powoli, a ja szybko.

- Niezły układ - skinął głową Luke. - Dlaczego się skończył?

- Stary Cheung zachorował i sprzedał sklepik. Parę tygodni później boss z ulicy zaproponował mi pracę, której nie chciałem wziąć. Maddy powiedziała, że już czas, bym ruszył dalej i że zna pewne miejsce.

- Zaufałeś jej?

- Powiedziała, że jest taki sensei, ktoś w rodzaju mnicha-wojownika, który przyjmuje uczniów i że możemy tam pójść, a jeśli mi się nie spodoba, to w każdej chwili będę mógł odejść.

Mnich. Luke potrząsnął głową. Może istniało jakieś podobieństwo między oddaniem sztukom walki, które przejawiał Jake, a niebiańską ścieżką, którą podążali uduchowieni mężczyźni, ale mnich? Trudno było nazwać Jake'a mnichem.

- Więc Jake wziął cię do siebie na prośbę Madeline, dał ci jedzenie i pokój, a ty ukradłeś mu portfel. Gdzie tu logika?

- Nie chciałem niczego kraść z tego portfela. Byłem tylko ciekawy, co jest w środku.

- Po co?

- Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o sensei.

- W jaki sposób?

- Z kart kredytowych, paragonów, z prawa jazdy i z tego zdjęcia, które za nim trzyma.

- Jake trzyma zdjęcie za prawem jazdy?

- Zdjęcie kobiety - wyjaśnił Po. - Chyba jest mieszanej rasy. Ma chińskie włosy, ale zachodnie oczy.

- Ji - wyjaśnił krótko Luke. - Była Jake'a.

- Była co?

- Była żona.

- Mnisi mają żony? - zdziwił się Po.

- Nie. - Luke pomyślał ponuro, że Jake nie zasłużył sobie na ciężar odpowiedzialności, który spadł na jego barki, kiedy zgodził się opiekować wścibskim chłopcem.

Droga na Bugis Street zabrała im dwadzieścia minut. Po zatrzymał się przy kontenerach na śmieci za całodobowym barem szybkiej obsługi. W ścianie za kontenerami

znajdowała się kratka wentylacyjna, wystarczająco duża, by włożyć tam rękę. Świetny sejf, pomyślał Luke.

- Możesz popilnować? - zapytał Po, wślizgując się za kontener.

Ciekawość, co znajduje się za kratką, walczyła w Luke'u z chęcią ochrony chłopca przed wzrokiem gapiów. Każdy dzieciak ma swoje skrytki, to w końcu nie jego sprawa, co Po tam trzyma oprócz ubrań i pieniędzy. Zaufanie powinno być obustronne, od czegoś trzeba zacząć. Madeline zobaczyła w tym chłopcu coś, co przekonało ją, że warto go ocalić, zaś Jake ufał jej osądowi na tyle, że wziął Po do siebie.

Podszedł do rogu alejki i przylgnął do ściany. Wyglądał teraz jak przypadkowy turysta. Przed sobą miał perspektywę pięciu dni w pobliżu Madeline Delacourte, a za plecami małego złodziejzka z ręką w przewodzie wentylacyjnym.

- Maddy, czy chcesz pogadać o tym, co robisz z moim bratem? - zapytał Jake po wyjściu Luke'a i Po.

- Nie - ucięła krótko.

- A czy muszę ci mówić, że jeśli się nim zabawisz i zranisz go, to koniec z naszą przyjaźnią?

- Nie. - Dobrze o tym wiedziała. Ona również miała kiedyś młodszego brata. Sięgnęła po torebkę. Jacob odsunął się na bok, pozwalając jej przejść. - Nie bawię się twoim bratem, Jacob.

- Maddy. - Głos Jake'a zatrzymał ją w drzwiach. - Może się nim nie bawisz, ale postaraj się go nie zranić.

Madeline uśmiechnęła się blado.

- Widzę, że bardzo się o niego troszczysz.

- To mój brat. - Jacob przesunął dłonią po zmierzwionych włosach. - O ciebie też się troszczę. Jako przyjaciel, nie jako... - wydawało się, że szuka odpowiedniego słowa - ...no wiesz.

- Wiem.

- To dobrze. Ciebie również nie chciałbym widzieć zranionej.

- Rozumiem.

- To dobrze - powtórzył. - A więc wszystko jasne?

- Jasne.

- Do zobaczenia jutro.

- Już nie mogę się doczekać.

Wyszła z dojo, zatrzymała taksówkę i kazała kierowcy jechać do najbliższego baru, dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że miała dziesięć lat, by się przyzwyczaić do pierwszego z braci Bennettów, nim poznała drugiego.

Jake rzucił okiem na swój portfel, wciąż spoczywający w tosterze, nalał sobie szkockiej.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mimo wszystko następnego dnia Madeline odwiedziła Jacoba w porze lunchu. Jego dojo było przystanią, w której wyrostki z ulicy czuły się dobrze. Ona również czuła się tam swobodnie, chociaż sztuki walki były brutalniejszym sportem, niż sądzi większość ludzi, a Jacob nie sprawiał wrażenia łagodnego człowieka. Obowiązywały tu jednak jasne, jednoznaczne zasady, których nie wolno było łamać. Była pewna, że jeśli Po uda się przestrzegać tych zasad, to Jacob dopilnuje, żeby chłopiec wyszedł na ludzi.

Gdy przyszła, Jacob siedział przy komputerze, a Po stał przy jego ramieniu i przyglądał się uważnie.

- On nie umie czytać - powiedział Jacob na jej widok. - Trzeba go zapisać do szkoły.

- Po nie chce nic powiedzieć o swojej rodzinie i czuje wielką niechęć do systemu, więc nie może pójść do szkoły - odrzekła. - Pomyślałam, że najpierw trzeba mu zapewnić jakiś dach nad głową, a o szkołę będę się martwić później.

- W takim razie potrzebny mu nauczyciel.

- To chyba da się załatwić. - Rozejrzała się ostrożnie, ale Luke'a nigdzie nie było widać.

- Nie ma go tu - mruknął Jacob, nie podnosząc głowy znad ekranu.

- Przecież nie pytałam - zdziwiła się Madeline.

Chłopiec i mężczyzna wymienili rozbawione spojrzenia.

- Nie, ale chciałaś zapytać.

Madeline zerknęła na nich spod przymrużonych powiek.

- Wczoraj wspominaliście coś o lunchu. Mam dwadzieścia minut.

- Dlaczego tak mało? - zdziwił się Jacob.

- Problemy w firmie?

- Jak zawsze. - Imperium finansowe, które odziedziczyła, sypało się w gruzy.

Wyrwanie się ze szponów kredytodawców wymagało wiele pomysłowości i czasu. Na szczęście Madeline miała mnóstwo jednego i drugiego. Gdy jej to odpowiadało, po-

trafiła grać rolę młodej i pięknej wdowy, ale każdy, kto robił interesy z firmą Delacourte, wiedział, że zarządza firmą żelazną ręką. - Jestem umówiona z księgowym.

- Mam resztki *mee goreng*, mikrofalówkę i ucznia, który wie, jak radzić sobie w kuchni - powiedział Jacob.

- Czy mam przygotować jedzenie? - odezwał się natychmiast Po, a gdy Jacob skinął głową, chłopiec od razu ruszył do drzwi.

- Jak mu się podoba karate? - zapytała Madeline.

- Szybko się porusza, szybko myśli i przywykł do twardego życia. Moje zasady wydają mu się bardzo łagodne. Wczoraj około północy zaczął ćwiczyć z Luke'em. Skończyli o drugiej, ale wstał już o szóstej. Kładzie się na krótkie drzemki w ciągu dnia i budzi, ledwie usłyszy szelest, gotów do walki lub do ucieczki. Serce się kraje, gdy się na to patrzy.

- To kiedyś minie, prawda?

- Może. - Jacob przesunął ręką po włosach. - Nie wiem. Luke radzi sobie z nim lepiej niż ja. Może powinnaś z nim porozmawiać.

- O czym?

- Mówi, że zostanie tu jeszcze przez tydzień, o ile znów go nie wezwą do pracy, więc przez ten czas może się zająć Po.

- Twój brat zmienia plany, jak mu się podoba?

- To wolny człowiek. Wolałabyś, żeby szybko wyjechał?

- Próbuję w ogóle o nim nie myśleć - mruknęła.

- I jak ci idzie? - rozległo się za jej plecami.

Jeszcze zanim się odwróciła, wiedziała, że to on. Miał na sobie spłowiałą szarą koszulkę i luźne džinsy.

- Gdzie jest Po? - zapytał.

- W kuchni - wyjaśnił Jacob.

Luke skinął głową i wyszedł. Jacob popatrzył na Madeline i westchnął.

- Co takiego? - najeżyła się.

- Nic.

Luke zniknął na czas lunchu. Po pokazał Madeline pokój, który przydzielił mu Jake. Nagie ściany, naga żarówka, komoda, łóżko z białą pościelą i cienką szarą kołdrą. Jacob był minimalistą, ale Po i tak wydawał się oszołomiony przestrzenią i wyposażeniem pokoju. Gdy spytała, czy chciałby tu zostać jako uczeń Jacoba, natychmiast skinął głową. Wskazała na bar szybkiej obsługi po drugiej stronie ulicy i zaproponowała chłopcu, by spotkali się tam na lunch w najbliższy poniedziałek. Znowu skinął głową. A więc wszystko było uzgodnione.

Wyszła z dojo. Od biura księgowych dzieliło ją dziesięć minut drogi; była już spóźniona, a w dodatku zauważyła Luke'a. Stał o kilka metrów od dojo, oparty o ścianę, i wydawał się leniwie obserwować świat. Podeszła do niego powoli. Żadne z nich się nie odezwało, ale Luke przeniósł spojrzenie na jej twarz.

- Chciałem, żebyś mnie zobaczyła i poszła w drugą stronę - powiedział w końcu z wyraźnym napięciem.

- Nieprawda.

- Śniłaś mi się ostatniej nocy - wyznał.

W jego głosie nie było czułości, jedynie oskarżenie.

- Bzdury. Jacob mówił, że przez pół nocy trenowałeś z Po.

- Owszem, ale nadal myślę, że powinienem cię unikać.

- No to unikaj, nikt ci nie broni.

Powiodł spojrzeniem w głąb ulicy, ale nie poruszył się. Powoli odwrócił głowę i znowu spojrzął na nią wyzywająco.

- Nie. Zjedz ze mną dzisiaj kolację.

- Gdzie?

- Wszystko jedno. Sama wybierz miejsce.

Madeline zawahała się. Luke przypuszczał, że wybierze jakąś zatłoczoną i głośnie restaurację, jakich mnóstwo było w Singapurze, ona jednak po chwili podała mu swój adres domowy.

- Spróbuję zarezerwować gdzieś stolik. Będę w domu o szóstej. Możemy wyjść o siódmej.

Skinął głową, wsunął ręce do kieszeni i oparł głowę o ścianę.

- Lepiej już idź.

Maddy cofnęła się o krok.

- Jacob zna mój numer. Zadzwoń, gdybyś się rozmyślił.

- Naprawdę sądzisz, że mogę się rozmyślić?

- Nie - uśmiechnęła się lekko - ale myślę, że powinienes.

Wróciła do domu o wpół do siódmej. Całe popołudnie spędziła nad sprawozdaniami finansowymi, ale zamiast zmęczenia czuła dziwne podekscytowanie. Zwykle nie podawała swojego adresu mężczyznom, których prawie nie znała, ale teraz już było za późno, by o tym rozmyślać.

W holu powitała ją starsza kobieta o pomarszczonej twarzy i uśmiechniętych oczach. Yun była gospodynią Williama przez ponad trzydzieści lat i traktowała swoją obecną pracodawczynię jak wnuczkę.

- Będziemy mieć gościa o siódmej - powiedziała Madeline, zrzucając płaszcz. -
Może przygotujemy jakieś kanapki?

- Co to za gość?

- Mężczyzna.

- Jakiej narodowości?

- Australijczyk.

- W jakim wieku?

Gdy chodziło o tego typu szczegóły, Yun mogłaby zawstydzić każdego dyplomate.

- W moim wieku.

Nienagannie wydepilowane brwi gospodyni uniosły się.

- Wspólnik w interesach?

- Nie. Brat Jacoba Bennetta. Zabiera mnie na kolację.

- Dokąd?

To było dobre pytanie. Madeline nie zdążyła jeszcze zrobić żadnej rezerwacji.

- Chyba do jakiejś restauracji na wybrzeżu. Gdzieś, gdzie jest dużo turystów. -
Gdyby poszli na przystań, nie musieliby nawet rezerwować stolika, mogliby wybrać miejsce, spacerując wzdłuż brzegu morza.

Oczy Yun przypominały teraz dwie szparki.

- Czy on wie, jak należy traktować kobietę o twojej pozycji?

Madeline stłumiła uśmiech.

- Wolałabyś, żeby zabrał mnie do jakiegoś drogiego miejsca, gdzie mielibyśmy zapewnioną intymność?

- Wystarczy, że będzie drogie.

- To nie jest mężczyzna, który próbowałby zaimponować kobiecie drogim jedzeniem i winem.

- Naprawdę? - Yun nie wyglądała na zachwyconą. - A jaki to mężczyzna?

- No cóż, właściwie nie wiem.

- Kiedy się urodził? Jakie jest jego zwierzę?

Yun była tradycjonalistką. Kierowała się w życiu zasadami feng shui i chińskiego zodiaku, a także czciła duchy swoich przodków.

- Nie mam pojęcia. Powiedziałabym, że Tygrys.

Yun pokręciła głową.

- Tygrys jest nieobliczalny i niebezpieczny. Tygrys i Wąż to nie jest dobra para. Każde z nich może zniszczyć drugiego, dlatego powinni się unikać.

- Dzięki, Yun. Bardzo mi poprawiłaś nastrój. - Madeline urodziła się w roku Węża.

Dobrze było wiedzieć z góry, że ona i Luke zupełnie do siebie nie pasują.

- Do ciebie pasuje Małpa albo Bawół. Dowiedz się, w którym roku się urodził.

- Dobrze. Przygotujesz te kanapki?

- Oczywiście. Coś, co zapewni harmonię i rozluźnienie.

- Doskonale. - Madeline nie miała nic przeciwko odrobinie harmonii i rozluźnienia.

Ruszyła przez posadzkę z wypolerowanego białego marmuru, ale po chwili znów się odwróciła.

- Co mam włożyć?

- Sukienkę, która podkreśli urodę, łagodny uśmiech i tę starą jaspisową spinkę do włosów - odpowiedziała Yun. - Na szczęście.

Luke Bennett był punktualny. Kamera przed wejściem pokazała go, gdy wchodził do windy na pięć minut przed siódmą. Madeline poszła za radą Yun i włożyła obcisłą

ciemnozieloną sukienkę, która podkreślała jej kształty i pasowała do koloru oczu. Yun wpięła jej we włosy jaspisową spinkę ozdobioną pięcioma srebrnymi nitkami, na których błyszcząły maleńkie perełki.

- Przestań się tak nerwowo kręcić - skarciła ją Yun, idąc otworzyć drzwi. - To tylko mężczyzna.

Luke pojawił się na progu w eleganckich ciemnoszarych spodniach i śnieżnobiałej koszuli. Nosił ten strój z zadziwiającą swobodą.

- Nie jesteś Małpą - stwierdziła Yun oskarżycielskim tonem. - I z pewnością nie Bawołem.

Luke zatrzymał wzrok na drobnej Chince, która sięgała mu zaledwie do łokcia.

- Nie - przyznał i przeniósł bezradne spojrzenie na Madeline. - Nie jestem.

- Poznaj Yun, moją gospodynię. Yun, to jest Luke Bennett.

- Może być Smok, ale raczej nie. Przyniosę antylopę - westchnęła Yun i zniknęła w szerokim przejściu wiodącym do kuchni.

Luke w milczeniu odprowadził ją wzrokiem, a potem znów skupił się na Madeline, nie zwracając najmniejszej uwagi na zdobiące salon jedwabne malowidła o muzealnej wartości i kilka bezcennych waz.

- Co słyszeć u Po? - zapytała.

- Mam nadzieję, że jest czymś zajęty, bo kiedy nie ma nic do roboty, natychmiast pakuje się w kłopoty.

- A twój brat?

- Też jest zajęty.

Te dwa pytania wyczerpały listę wspólnych tematów. Przed nimi rozciągało się niebezpieczne nowe terytorium. Madeline zastanawiała się, czy Luke wie, co robi, podążając za iskrą, która przemknęła między nimi. Ona sama nie lubiła igrać z ogniem.

- Napijesz się czegoś? - Podeszła do ławy, za którą znajdował się barek. - Yun zaraz przyniesie nam coś do jedzenia.

- Antylopę - mruknął Luke. - Nie musiałaś robić sobie kłopotu.

Rzuciła mu olśniewający uśmiech.

- To żaden kłopot. Yun bardzo lubi wykorzystywać swoje talenty kulinarne. Ukończyła wszelkie możliwe kursy. Zrobi mi awanturę, jeśli niczym cię nie poczęstuję. - Otworzyła lodówkę i popatrzyła na zawartość. - Na co masz ochotę?

- Wystarczy piwo.

Wyciągnęła z półki butelkę piwa Tiger Bitter i sięgnęła po otwieracz. Nie było sensu pytać, w którym roku Luke się urodził. Jego znak zodiaku bił po oczach. Dla siebie przygotowała dzin z tonikiem - standardowy drink, który w tej części świata można było pić zawsze i wszędzie.

- Co cię sprowadziło do Singapuru? - zapytał Luke.

Madeline zajęła się krojeniem limonki. Ćwiartka do piwa, plasterek do dzinu.

- Przyjechałam tu, szukając brata. Podróżował po południowo-wschodniej Azji. Wyruszył z Singapuru, więc ja też zaczęłam od tego miejsca.

- Znalazłaś go?

- W końcu tak. - Nie miała ochoty opowiadać mu o szczegółach swojej podróży przez piekło w poszukiwaniu Remy'ego. - Już nie żyje.

- Przykro mi. - Luke zatrzymał na niej poważne spojrzenie. - Czy dlatego próbujesz pomóc dzieciakom takim jak Po?

- Może - wzruszyła ramionami. - Szukając brata, widziałam wiele rzeczy, które chciałabym zmienić, gdybym tylko mogła.

- Czy dlatego wyszłaś za mąż dla pieniędzy?

- Wciąż mnie osądzasz?

- Nie. - Po chwili dodał: - Może po prostu próbuję cię lepiej poznać.

- Mój brat i ja byliśmy sierotami. Opiekował się nami stan Nowej Południowej Walii. Remy szukał zapomnienia i znalazł je. Ja szukałam stabilności, bezpieczeństwa i dostatku.

- I też je znalazłaś.

- Tak - skinęła głową. - Czy teraz łatwiej ci zrozumieć powody mojego małżeństwa?

- Sam nie wiem. - Uśmiechnął się blado i rozejrzał po salonie urządzonym eklektyczną mieszanką tego, co wygodne, i tego, co najlepsze. Madeline nie afiszowała się

swoim bogactwem, ale niewątpliwie potrafiła uczynić swoje życie przyjemnym. - Ładnie tu.

- Dziękuję. Pieniądze nie mają dla ciebie wielkiego znaczenia, prawda?

Luke wzruszył ramionami.

- Mam ich dosyć. Nie potrzebuję więcej.

Bardzo się różnili. Może za bardzo. On był lekkomyślny i uzależniony od adrenali-
ny, Madeline zależało na bezpieczeństwie i lubiła wszystko kontrolować.

- Chyba niewiele mamy ze sobą wspólnego - zauważyła.

- Na razie wydaje się, że nie. - Luke odstawił piwo i oparł się o blat baru. - Ale
może w końcu znajdziemy jakąś wspólną płaszczyznę - dodał, wpatrując się w jej twarz.

- Temu właśnie służą pierwsze spotkania.

- A drugie pocałunki? - zapytała szeptem.

- Są po to, żeby się przekonać, czy dobrze zapamiętaliśmy pierwsze. - Musnął
ustami jej usta i odsunął się powoli. - Jakie jest twoje zdanie na temat standaryzacji i
wprowadzenia międzynarodowych limitów na połowy dalekomorskie?

- Popieram je całym sercem. Chociaż wyegzekwowanie tego może się okazać trud-
ne.

- Zgadzam się - mruknął. - A więc jednak znaleźliśmy jakąś wspólną płaszczyznę.

Yun wkroczyła do salonu z tacą sajgonek i miseczką sosu chili.

- Jest ostry - ostrzegła, zerkając na Luke'a z ukosa. - Ogień jest bardzo użyteczny
przy polowaniu na tygrysy. A także broń palna - dodała i zniknęła.

- Jest bardzo lojalna - westchnęła Madeline.

Luke popatrzył na sajgonki z rezerwą.

- Ja chyba użyłbym innego słowa.

Madeline sięgnęła po jedną, zanurzyła ją w sosie i wrzuciła do ust. Smakowała bo-
sko, ale chili rzeczywiście było bardzo ostre, niemal przepalało podniebienie.

- Doskonałe - powiedziała z trudem. - Myślę, że będą ci smakować.

- A te z zygzakiem na wierzchu?

To nie zygzak, pomyślała Madeline, przyglądając się uważnie sajgonkom. To wąż.

- Te są dla mnie.

Luke sięgnął po jedną, zanurzył ją w sosie i po chwili wymamrotał:

- Dobrze. - Wziął następną, tym razem bez węża, i uśmiechnął się szeroko. - A te są jeszcze lepsze.

- Chyba powinniśmy już iść - powiedziała Madeline. Nie wiedziała, co ją bardziej krępuje - nietypowa gościnność Yun czy zmysłowe reakcje własnego ciała. - Nie zarezerwowałam żadnego stolika. Pomyślałam sobie, że możemy się przejść w stronę...

- Wybrzeża - dokończył Luke.

- No właśnie. - Tam jest dużo wody, pomyślała. To się może przydać do gaszenia płomienia.

Restauracje dokoła przystani były zatłoczone i gwarne. W ciemnej wodzie odbijały się światła miasta. Luke usiadł wygodnie i rozpoczął uprzejmą rozmowę. Czy Madeline podoba się życie w Singapurze? Owszem, podobało jej się. Czy zastanawiała się nad powrotem do Australii? Nie, nie zastanawiała się.

Po jakimś czasie ona również zaczęła mu zadawać pytania. Gdzie właściwie mieszka? Ostatnio nigdzie, chociaż ma mieszkanie w Darwin i często tam wraca między jednym a drugim zleceniem. Nie ma wielkich potrzeb i nie posiada wiele, w przeciwieństwie do niektórych.

Madeline twierdziła, że jego brak zainteresowania pieniędzmi nie ma dla niej znaczenia i Luke jej wierzył. Nie był jednak pewien, czy ich nierówny status finansowy nie będzie przeszkadzał jemu samemu. Gdyby chodziło tylko o krótkotrwały związek, nie miałyby to żadnego znaczenia, jednak z czasem mogło okazać się poważną przeszkodą.

- O czym myślisz? - zapytała go.

- Co byś zrobiła, gdybyś nagle straciła wszystkie pieniądze, które zostawił ci mąż?

- Zaczęłabym od początku.

- Od kolejnego małżeństwa z bogatym człowiekiem?

- Niekoniecznie - wzruszyła ramionami. - Nauczyłam się już zarabiać pieniądze.

Pewnie spróbowałabym to zrobić po swojemu.

- Walczyłabyś o to, żeby znów stać się bogatą kobietą?

W jej oczach pojawił się zielony płomień.

- Imperium Delacourte nie było w najlepszym stanie po śmierci Williama. Sprzedałam rodzinną posiadłość, kupiłam mieszkanie, w którym mieszkam teraz, a resztę pieniędzy zainwestowałam w restrukturyzację firmy. Wielki biznes to czasem również wielkie straty. Teraz walczę o to, żeby pozostać bogatą kobietą.

- I ta walka sprawia ci wyraźną przyjemność.

- Tobie też - odparowała. - Twoja praca składa się z wyzwań, niebezpieczeństw i kalkulowania szans. Ale gdy chodzi o kobiety, przypuszczam, że nie szukasz walki, lecz doskonałości. - Pochyliła się do przodu i w jej oczach zabłysła kpina. - Przykro mi, że cię rozczarowuję.

- Nie musisz mi opowiadać o swoich wadach, Maddy. Sam potrafię je dostrzec.

Usłyszał jej niski, głęboki śmiech.

- Jak to się stało, że robisz to, co robisz? - zapytała, chcąc odwrócić rozmowę od tematu pieniędzy. - Nie wyobrażam sobie, że gdy psycholog szkolny zobaczył, jak rozwiązałeś test, powiedział, że powinieneś się zająć rozbrajaniem bomb.

- Tego nie powiedział, chociaż uważał, że wojsko nauczyłoby mnie dyscypliny. Nie, poszedłem w ślady mojego brata, Pete'a, i zaraz po szkole zaciągnąłem się do marynarki. Pete chciał się dostać do sił powietrznych marynarki, a ja wolałem nurkowanie. Po szkoleniu zaczęły się zadania. Jedno z nich polegało na rozbrajaniu min morskich. Potem zajmowaliśmy się unieszkodliwianiem niewybuchów na rozmaitych poligonach i w końcu trafiłem do trzyosobowego zespołu rozminowania. Po kilku operacjach na lądzie wystąpiłem z marynarki i zacząłem działać jako wolny strzelec. Od czasu do czasu pracuję dla wojska jako konsultant, zdarza mi się również uczyć innych.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem - stwierdziła Maddy, ale w tej chwili przy ich stoliku zatrzymał się nienagannie ubrany, starszy Azjata.

- Pani Delacourte. - Skłonił się ledwo dostrzegalnie i zatrzymał spojrzenie na Luke'u.

- Pan Yi - powiedziała Madeline, nie kryjąc zdziwienia. - To jest Luke Bennett. Pozwól, Luke, że przedstawię ci pana Bruce'a Yi, filantropa i finansistę.

Luke podniósł się i czując na sobie nieruchome spojrzenie, uściśnął twardą dłoń mężczyzny.

- Jest pan krewnym Jacoba? - zapytał pan Yi.

- To mój brat.

- Ach. - Z wyrazu twarzy pana Yi nie sposób było wywnioskować, czy uznał tę wiadomość za dobrą.

- Zna pan Jake'a? - zdziwił się Luke.

- Słyszałem o nim. Jianne Xang to moja siostrzenica. Córka mojego szwagra.

- Ach - mruknął z kolei Luke i zapanowała niezręczna cisza. - Proszę pozdrowić Ji - dodał po chwili. Jake wciąż nie mógł wybaczyć Ji, że zostawiła go po niecałym roku małżeństwa, ale Luke nie żywił do niej żadnej urazy. Był pewien, że jego brat miał zbyt wysokie oczekiwania wobec tego małżeństwa, chociaż Jake z nikim nie rozmawiał na ten temat.

- To ciekawe, że pomimo tylu lat separacji ani Jacob, ani Jianne nigdy nie wystąpili o rozwód, nie sądzi pan? - zapytał starszy mężczyzna, patrząc na niego badawczo.

- Nie potrafię przeniknąć myśli mojego brata - odrzekł Luke. - A już z pewnością nie mam pojęcia, co sądzi o tym Ji.

- Nigdy nie wiadomo, co się kryje w cudzej głowie - zgodził się tamten. - Mimo wszystko można snuć jakieś domysły.

- Wolałbym tego nie robić.

Bruce Yi skłonił głowę i zwrócił się do Madeline:

- Moja żona otwiera nową wystawę w piątek wieczorem. Zaprosiła tylko niewielką grupkę wybranych gości.

- Jestem pewna, że będzie to niezwykle wydarzenie - stwierdziła Madeline uprzejmie.

- Dopiszę panią do listy gości - obiecał Bruce. - Mam nadzieję, że panią tam spotkam.

Madeline uśmiechnęła się, ale nie skomentowała tego ani słowem.

- Pana również, panie Bennett. Życzę udanego wieczoru - dodał pan Yi i ruszył dalej w swoją stronę.

- To twój przyjaciel? - zapytał Luke, patrząc za nim.

- Nie. Jeden z członków bankierskiej elity Singapuru. - Twarz Madeline zdradzała spore zdenerwowanie. - Przez ostatnie sześć lat próbowałam skonsolidować firmę, a teraz chciałabym ją rozwijać. Mam pewien projekt, który wymaga dużego wsparcia finansowego i bardzo specyficznego partnerstwa. Bruce Yi mógłby mi zapewnić jedno i drugie. W pierwszej chwili sądziłam, że ma to być typowo chińskie zaproszenie do rozmów o interesach, ale jemu chodziło o coś innego. On wykorzystuje mnie, żeby dotrzeć do ciebie, a przez ciebie do Jacoba.

- To bardzo dalekosiężne założenie. Przecież dopóki mnie nie przedstawiłaś, nie miał pojęcia, kim jestem.

Madeline pokręciła głową.

- Wiedział. Może zauważył twoje podobieństwo do Jake'a i domyślił się, kim jesteś, a może wiedział już wcześniej, ale z pewnością zatrzymał się przy tym stoliku ze względu na ciebie, nie na mnie.

- A to zaproszenie?

- Należy je potraktować jako zaproszenie do negocjacji. Przypuszczam, że chodzi mu o sfinalizowanie rozwodu Jianne.

- A co to za projekt? Ten, który miałby ci pomóc finansować?

- Budowa apartamentowca. To nasza pierwsza inwestycja od lat. W tym samym budynku byłby też ośrodek dla dzieci potrzebujących opieki, przedszkole i pierwsze klasy szkoły podstawowej.

- Nie wydaje mi się to ryzykowne.

- Chcemy zamontować tam wysokiej jakości filtry powietrza. To nie jest tanie.

- Nadal nie widzę problemu. Po prostu ceny mieszkań musiałyby być odpowiednio wyższe.

- Problemem jestem ja - stwierdziła Madeline śmiało. - A dokładniej to, jak Bruce Yi mnie postrzega. William powinien był wziąć sobie żonę z dobrym pochodzeniem, na tyle rozsądną, by zechciała urodzić mu dzieci, zanim się z nią rozwiedzie. Wówczas większość spadku przypadłaby dzieciom. Niestety William nie miał wcześniej żony, dzieci ani żadnej innej bliskiej rodziny.

- A więc uważa cię za poszukiwaczkę złota. - Luke wzruszył ramionami. - I co z tego?

- Widzi we mnie głupią gęś, której się powiodło. Nie dostrzega mojej pracy. Widzi tylko to, co chce widzieć.

- W takim razie musisz sprawić, żeby zmienił zdanie.

- Jak? Mam poświęcić ciebie i Jacoba dla własnych ambicji?

- Nie. Idź na tę wystawę. Pokaż pazur, przedstaw wizje inwestycyjne, a Jake i ja sami zadbamy o siebie.

Madeline z żalem potrząsnęła głową.

- Nic nie rozumiesz. Bruce Yi nie potrzebuje mojego projektu. Ma na biurku tuzin równie ciekawych propozycji. Nie potrzebuje ode mnie niczego oprócz dojścia do ciebie. Okazał to bardzo wyraźnie. A jeśli przyjdę bez ciebie...

- W takim razie idź tam ze mną.

- On działa bardzo subtelnie.

- Denerwujesz mnie - odparł Luke szczerze.

- Nie boję się wyzwań. Sama to wcześniej zauważyłaś.

- Musiałbyś włożyć czarny krawat.

- Znajdę jakiś.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby Bruce zaprosił tam również Ji.

- Gdybyś próbowała przekonać Jake'a, żeby tam przyszedł, słysząc to, pewnie by się zawahał. Mnie to jest obojętne.

- Pewnie i tak będę musiała cię użyć jako tarczy.

- Tarczy przeciwko czemu?

- Przeciw romansowym zapędom, intrygom i sztyletom wbijanym w plecy.

- Czy ktoś już ci powiedział, że zwracasz na siebie uwagę?

- Owszem, często to słyszałam. - Cień, który pojawił się w oczach Madeline, świadczył, że nie uważała tych słów za komplement. - Mniejsza o to. Nie musisz tam ze mną iść. To miał być tylko test.

- Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli ludzie nie przychodzą na test, to oblewają - powiedział Luke cicho. - Mam dla ciebie propozycję, która mogłaby się okazać korzystna dla nas obojga.

- Zamieniam się w słuch - odparła, nie patrząc na niego.

- Pójdiesz ze mną na tę wystawę i pomożesz mi się dowiedzieć, co Yi myśli na temat Jake'a. Jeśli przy okazji uda ci się porozmawiać z nim o interesach, tym lepiej. Nie mam nic przeciwko mieszaniu osobistych spraw Bennettów z twoim biznesem.

Madeline podniosła na niego wzrok.

- Czy ty na pewno nie jesteś Chińczykiem?

- Nie. Ale podziwiam ich umiejętność łączenia pracy ze sprawami rodzinnymi.

- Tę umiejętność wypracowuje się tysiące lat - odrzekła sucho, ale po raz pierwszy zaczęła się poważnie zastanawiać nad przyjęciem zaproszenia pana Yi. - Jesteś pewien, że tego chcesz? Chyba nie wiesz, w co się pakujesz.

- Często mi się to zdarza. Ryzyko zawodowe. Nie usłyszałem jeszcze twojej zgody.

- Niech będzie. Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegałam. I co dalej?

- Wróćmy do tego, co robiliśmy, zanim nam przeszkodzono - odrzekł Luke gładko.

- To znaczy?

Na widok jego uśmiechu przeszył ją dreszcz.

- Mówiłaś wcześniej o tym, jak bardzo mnie podziwiasz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Luke Bennett był w dziewięciu dziesiątych wojownikiem, a w jednej dziesiątej adoratorem, który doskonale wiedział, jak postępować z kobietą. Madeline doszła do tego wniosku, gdy Luke zapłacił rachunek i przy wyjściu lekko dotknął jej pleców, przyciągając ją do siebie, by przepuścić turystów, którzy szli w przeciwnym kierunku. Nie było w tym dotyku nic przedmiotowego, tylko ciepło i chęć ochrony.

Szli wzdłuż brzegu morza. Napięcie Madeline narastało. Tygrys wyczuł pułapkę i wojownik zdecydował się poczekać. Czekał, aż znaleźli się przed prywatną windą, która miała ich zabrać do jej mieszkania. Gdy winda przyjechała i Madeline zapytała Luke'a, czy chce pojechać na górę, ten wzruszył ramionami i wszedł do środka. Na najwyższym piętrze jednak nie wysiadł, tylko oparł się o lustro i wsunął ręce w kieszenie.

- Masz ochotę wstąpić na kawę? - zapytała.

- To nie jest dobry pomysł.

Tak jakby sama o tym nie wiedziała.

- Mogę grać rolę dżentelmena tylko do pewnego momentu, Maddy - westchnął. - Jeśli wejdziesz, to będę chciał zostać do rana, a nie jestem pewien, czy mam ochotę się przekonać, co twoja gospodyni podaje na śniadanie.

- Jeśli szukasz pretekstu, żeby trzymać się z dala ode mnie, to zapomniałeś wspomnieć o duchu Williama i o jego majątku.

Wzrok Luke'a nie opuszczał jej twarzy.

- Chyba już o tym wspominałem. Jeszcze nie wiem, czy potrafię sobie poradzić z jednym i z drugim. Nie nalegaj, Maddy, daj mi trochę czasu.

- Przecież to ty przyjechałeś tu tylko na tydzień - mruknęła.

- Na dwa.

- Przepraszam, dwa - uśmiechnęła się krzywo.

- Bywa, że ocena sytuacji przy materiałach wybuchowych zajmuje znacznie więcej czasu, niż można było pierwotnie przypuszczać - rzekł ponuro. - Czasem trzeba przez dłuższy czas krążyć dokoła, żeby się przekonać, o co właściwie chodzi.

- A ja uważałam cię za lekkomyślnego.

- Chyba się myliłaś. Próbuję zwolnić tempo, a ty mogłabyś mi pomóc, bo Bóg jeden wie, czym to się skończy, jeśli nie zwolnimy. - Jego oczy zaślniły. - Masz ochotę zażykować?

Niespodziewanie dla samej siebie uznała, że Luke ma rację. Powinna wyjść z tej windy, dopóki jeszcze była w stanie to zrobić.

- Nie. Masz rację. Nie proponuję ci kawy. Pozdrów chłopaków. - Cofnęła się o krok i przycisnęła guzik otwierający drzwi. - Czy w dalszym ciągu masz ochotę pójść ze mną na tę wystawę w piątek?

Skinął głową.

- Dobrze. W takim razie już pójde.

- Zaczekaj. - Zwodniczo łagodny ton zatrzymał ją na miejscu. - Zapomniałaś o czymś.

- O czym?

- O pocałunku na dobranoc - powiedział pochmurnie i pociągnął ją w ramiona.

- Idź - mruknął po chwili.

Wychodząc, obejrzała się raz jeszcze. Nadal stał oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach i głową odrzuconą do tyłu. Patrzyła na niego, dopóki drzwi windy się nie zamknęły.

Piątek nadszedł szybko. Bruce Yi przysłał jej w imieniu Eleny zaproszenie, na którym widniały dwa nazwiska, a w pół godziny po tym, jak Madeline wysłała mu mejlem potwierdzenie przybycia, poprosił o szczegółowe informacje na temat projektu budynku mieszkalnego w południowej części Singapuru.

Madeline miała wszystkie te informacje pod ręką już od paru tygodni. Zakłęła, wpatrując się w teczkę i myśląc o wszystkich nadziejach, jakie wiązała z tym projektem. Wizualizacja budynku zajęła ponad rok. Tak łatwo byłoby teraz zagrać kartą, którą trzymała w ręku i pozwolić, żeby Jacob sam się o siebie zatroszczył. Luke powiedział jej przecież, że powinna skorzystać z okazji, a on i Jacob zajmą się sprawami Bennettów. Z pewnością Jacob był w stanie obronić się przed manipulacjami Bruce'a Yi.

Otworzyła szufladę, wrzuciła teczkę do środka i zatrasnęła ją głośno, a potem popatrzyła na puste biurko i zakłęła jeszcze raz.

William był najłagodniejszym biznesmenem na świecie. W ciągu lat, które spędzili razem, nauczył ją wielu rzeczy, ale bezwzględności musiała nauczyć się sama po jego śmierci. Gdy zajęła się restrukturyzacją firmy, musiała podjąć kilka trudnych decyzji. Podjęła je i nauczyła się żyć z ich konsekwencjami. Firmie wyszło to tylko na dobre.

A jednak nie była w stanie poświęcić dziesięcioletniej przyjaźni w imię interesów. Uśmiechnęła się ponuro. Nikt by się nie zdziwił, gdyby tak zrobiła. Wyszła za łagodnego człowieka dla jego pieniędzy, a w trzy lata później pochowała go i nigdy więcej nie oglądała się za siebie. Grała według zasad, których nikt nie potrafił przewidzieć. W oczach świata była głupią, ładną gąską, której wydawało się, że potrafi odbudować firmę Delacourte. Kochała bezpieczeństwo, jakie dawały jej pieniądze, ale rok po roku przeznaczala na cele dobroczynne sumę równą własnym rocznym dochodom. Firma przynosiła zyski, dawała dochody jej samej i setkom innych pracowników. Jej byt zależał jednak od tego, czy Madeline potrafi przedłożyć interesy ponad wszystko inne.

Dla bezpieczeństwa finansowego poświęciła już miłość. Dlaczego nie miałyby poświęcić również przyjaźni?

O wpół do piątej sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do dojo. Luke'a nie było, ale Jake podał jej numer komórki.

- Przy galerii jest parking. Pomyślałam, że może wezmę samochód - powiedziała, gdy Luke odebrał połączenie. - Może podjadę pod dojo i zabiorę cię około siódmej? Co o tym myślisz?

W słuchawce zapanowało milczenie.

- Źle myślę. Z różnych powodów myślę o tym bardzo źle - mruknął w końcu Luke. Nie zdziwiło jej to szczególnie.

- Chodzi o pieniądze? - zapytała z rozbawieniem.

- Nie. Chodzi o samochód. Pieniądze to tylko marginalny problem w tym konkretnym przypadku. To chłopak powinien zdobyć samochód i podjechać po dziewczynę, żeby zaimponować jej talentami organizacyjnymi oraz umiejętnościami kierowcy. Samochód jest metaforą, symbolizuje to, że chłopak będzie potrafił o nią zadbać. Tak to już jest na świecie.

- Urocze - uśmiechnęła się. - W takim razie powiedzmy, że wierzę w twoje umiejętności i w to, że potrafisz zadbać o kobietę. Ale ponieważ jesteś teraz w obcym kraju, to wyjątkowo ja podjadę po ciebie o siódmej. Dobrze?

- A może ja wynajmę samochód? - zapytał Luke z desperacją.

- Po co miałbyś to robić, skoro mój samochód stoi tu prawie nieużywany? Czy będzie lepiej, jeśli pozwolę ci poprowadzić?

- Nie. To jeszcze gorzej. Z deszczu pod rynnę.

- A co się stało z równością płci?

- Bracia Bennett nigdy nie wstępowali do tej partii. Co to za samochód? Poczekaj, sam zgadnę. Małolitrażowy, kompaktowy i w pastelowym kolorze.

- Miałbyś za swoje, gdyby się okazało, że to prawda.

- Mam tylko nadzieję, że nie jest w limonkowym kolorze i nie ma na kołach kołpaków z namalowanym uśmiechem, bo jeśli tak, to idziemy piechotą.

- To kabriolet. Mercedes. - Madeline nie miała nic przeciwko temu, żeby trochę się z nim podrażnić. - SL, dwanaście cylindrów i mnóstwo guzików, którymi można się bawić. Spodoba ci się.

Usłyszała w słuchawce zduszony dźwięk.

- Czy tylko mi się zdawało, czy jęknąłeś?

- Tak, ale tylko dlatego, że krawiec właśnie ukłuł mnie szpilką w wewnętrzną stronę uda. Zupełnie nieistotne jest, że pod dom mojego brata takim samochodem podjedzie kobieta, która ma znacznie więcej pieniędzy ode mnie. Moje ego jest bardzo silne i tego typu historie nie robią na nim żadnego wrażenia.

- Jasne, że tak. W takim razie będę przy dojeżdżeniu o siódmej.

- Jak chcesz - mruknął ponuro.

- Jakiego koloru masz garnitur?

- Czarny.

- To doskonale. Będzie pasował do mojego samochodu.

- Życie jest okrutne - westchnął Luke i rozłączył się.

- To, że tygrys walczy, nie znaczy jeszcze, że trzeba go głaskać.

Słowa Yun dźwięczały Madeline w uszach, gdy o siódmej zatrzymała się przed do-jo, ignorując zakaz parkowania. W drzwiach natychmiast pojawił się Po, a za nim Luke. Serce Madeline zaczęło bić mocniej.

Po podskakiwał w miejscu, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w samochód Madeline.

- Jake kazał ci powiedzieć, że jeśli Luke nie wróci do domu przed północą, to znacznie sobie wyobrażać najgorsze - powiedział z szerokim uśmiechem. - Powiedział, że na pewno wolałabyś tego uniknąć, bo jeśli zaczniesz sobie wyobrażać najgorsze, to będzie musiał sprać Luke'owi tyłek.

- Zrozumiałam - odrzekła Madeline.

- Łatwo ci mówić - Luke popatrzył na nią mrocznie.

Chłopiec zniknął w budynku, a Madeline zapaliła silnik i ruszyła. Luke nie spuszczał z niej wzroku. Zastanawiała się, co widzi: przebraną oszustkę czy pewną siebie kobietę, która dokładnie wie, kim jest i czego chce. W klejnotach Delacourte'ów i sukience od znanego projektanta zupełnie nie czuła się pewna siebie.

- Brylanty pasują do ciebie - powiedział w końcu.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Należały do babci Williama.

- Mimo wszystko pasują do ciebie.

- Podoba mi się twój garnitur - odrzekła.

- Czasami się przydaje. Co wiesz o Brusie Yi i jego rodzinie? - zapytał Luke.

Wreszcie znalazła się na pewnym gruncie. Odetchnęła z ulgą.

- Elena jest pierwszą żoną Bruce'a. To rzadkie u ludzi w jego wieku i z jego pieniędzmi. Rodzina Eleny należy do szanghajskiej arystokracji. On sam ma równie dobre pochodzenie, ale wywodzi się z Singapuru. Podobno było to aranżowane małżeństwo, ale chyba są ze sobą szczęśliwi.

- Mają dzieci?

- Dwóch synów w naszym wieku. Obydwaj pracują dla ojca i to pracują ciężko.

Nic nie dostają za darmo.

- Czy ci synowie są związani z jakimiś kobietami?

- Nigdy nie wiążą się na dłużej. Potrafią się bawić równie dobrze jak pracować. - Madeline przypomniała sobie, że Ji jest córką brata Eleny. - A więc Ji pochodzi z szanghajskich Xangów? Luke skinął głową.

- To duże pieniądze, z pewnością większe od majątku rodziny Delacourte. Jak Jake sobie z tym radził?

- To znaczy wtedy, gdy wreszcie się dowiedział? - mruknął Luke sucho. - Niezbyt dobrze.

- Potrafię sobie to wyobrazić. Czy właśnie dlatego ich małżeństwo się nie udało?

Luke wzruszył ramionami.

- Być może jeden z powodów, ale były też inne. Jake musiał przyjąć na siebie obowiązki, które kolidowały z życiem małżeńskim. - Nie wyjaśnił jednak, co to były za obowiązki, tylko zmienił temat. - Mówiłaś, że ty i twój brat trafiliście pod opiekę państwa. Kiedy to się stało?

- Nasza matka zmarła, gdy miałam siedem lat, a mój brat cztery. Ojciec zapił się na śmierć w jakiś rok później - powiedziała rzeczowym tonem, nie domagając się współczucia ani w gruncie rzeczy nie oczekując zrozumienia. Żadne słowa nie były w stanie oddać desperacji, jaką wzbudziło w niej dorastanie pod opieką państwa. Nie miała pieniędzy, stałego domu ani kontroli nad niczym. Nie udało jej się nawet zatrzymać przy sobie Remy'ego. Cały jej dobytek mieścił się w jednej torbie. Poza tym miała tylko marzenia. Kiedyś, gdy będę już dorosła. Kiedyś, gdy będę bogata. Kiedyś, gdy będę kochana.

Oderwała rękę od kierownicy i lekko dotknęła naszyjnika. To, że ktoś mógł ją pokochać, było dla niej wstrząsem. Wrodzona dobroć Williama przeważała szalę.

- Wciąż tam jest - zauważył Luke łagodnie. - Naszyjnik.

Madeline w milczeniu znów położyła rękę na kierownicy.

- Moja matka zmarła, gdy miałem trzynaście lat. - Ochryply głos Luke'a świadczył o tym, że zwykle unikał tego tematu. - Ojciec nadal żyje, ale niezbyt dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków. Było nas pięcioro i mieliśmy więcej szczęścia niż ty. Udało nam się zostać razem. Mieliśmy dom, a w tym domu ojca, przynajmniej na papierze. Od

czasu do czasu przypominał sobie nawet o zapłaceniu rachunków. No i my czterej mieliśmy jeszcze Jake'a.

- To dobrze - szepnęła.

Jechali dalej w milczeniu, aż dotarli do wieżowca, w którym mieściła się galeria. Maddy wjechała na podziemny parking, rzuciła okiem na rząd wind i zaparkowała przy schodach prowadzących na poziom ulicy. Stamtąd szklane drzwi wiodły do budynku. Na pierwsze piętro można było dojechać ruchomymi schodami.

Nie była w stanie znów znaleźć się sam na sam w windzie z Luke'em Bennettem.

Luke szedł przez luksusowy hol z marmuru i szkła, który jednak nie wzbudził w nim podziwu. Lubił mieć pieniądze, lubił świadomość, że nie zagraża mu bezdomność ani głód, ale nie pociągało go bogactwo, jakim zarządzała Madeline i rodzina Yi.

Przyszedł tu ze względu na brata, a może również dlatego, że nie potrafił trzymać się z daleka od Madeline Delacourte. Gdy opowiadała o swoim dzieciństwie, widział w jej oczach załamane dziecko. Dostrzegał niepewność, z jaką nosiła drogie błyskotki. Dopiero teraz zaczął rozumieć, dlaczego władza i pieniądze były dla niej tak ważne: zapewniały bezpieczeństwo bezdomnemu dziecku, temu samemu dziecku, które nie potrafiło przejść obojętnie obok Po.

Na widok tego dziecka serce mu się krajało.

- Jesteś gotów? - zapytała lekko Madeline.

- Zupełnie nie - uśmiechnął się.

Podeszli do drzwi, obok których stał drobny mężczyzna z listą gości.

- Madeline Delacourte - powiedział ze szczerą radością. - Niezmiernie mi miło znów panią widzieć. Zbyt długo się pani nie pokazywała.

- Artur - odrzekła Madeline z uprzejmym uśmiechem. - Ty draniu. Co ty tu robisz?

- Pracuję. Stoi przed panią ostatni kurator galerii - przyłożył dłoń do piersi. - Artur wreszcie stanął na nogach.

- Gratuluje. - Madeline spojrzała na Luke'a. - William kolekcjonował starą chińską porcelanę.

Artur bardzo lubił znajdować dla niego kolejne eksponaty. Ostatnią rzeczą, jaką znalazł, była przepiękna urna grobowa. Kosztowała majątek, nawet według standardów Williama.

- Ach, ale to było arcydzieło - westchnął Artur.

- To prawda i muszę powiedzieć, że ta urna bardzo się przydała.

Artur pokiwał głową.

- Chyba pani tego nie zrobiła?...

- Ależ tak - odrzekła Madeline z rozbawieniem i przemknęła przez przesuwane szklane drzwi.

Luke rzucił spojrzenie na wstrząśniętego portiera i poszedł za nią.

- Rozumiem, że William spoczywa obecnie w tej urnie.

- Bardzo ją lubił. Wydawało mi się, że powinnam to dla niego zrobić.

- Chyba nie. - Luke potrząsnął głową. - Mniejsza o to.

- Mniejsza o co?

- Nic. Tylko że...

Madeline czekała, aż skończy zdanie.

- Jak William zmarł?

- To było bardzo dziwne. Wyszedł na ulicę i przejechała go ciężarówka.

Pierwszy obraz przedstawiał biały krąg na czarnym tle. Pośrodku kręgu znajdowała się czarna kropka, ze środka której wychodziły jaskrawoczerwone zygzaki. Przypominało to oko pijaka. Luke zdecydowanie nie miałby ochoty patrzeć na ten obraz, budząc się co rano.

Na widok ceny uśmiechnął się szeroko. Przechylił głowę i jeszcze raz popatrzył na obraz. Nie, to nie było oko pijaka. To było oko trupa.

- Ciężarówka, mówisz.

- Uhm.

Madeline podeszła do kolejnego obrazu. Tu było więcej plam w różnych kolorach. W środek obrazu wbity był widelec.

- Naprawdę nie rozumiem tej symboliki - mruknęła.

- Nic nie szkodzi. - Luke dostrzegwał wystarczająco wiele symboliki dla nich dwojga. - A więc William kupił urnę pogrzebową.

- Prawdę mówiąc, to ja ją kupiłam, chociaż William ją wybrał. To był prezent urodzinowy.

Luke wzdrygnął się.

- A więc ty kupiłaś Williamowi urnę pogrzebową, a potem przejechała go ciężarówka i zginął.

Madeline odwróciła się i spojrzała na niego z rozbawionym niedowierzaniem.

- Czy jesteś przesądny?

- Nie - mruknął. - Nie za bardzo.

W tej chwili jednak podeszła do nich ciemna, drobna, ciemnowłosa matrona w szarej sukni.

- Elena - uśmiechnęła się Madeline. - Miło mi cię widzieć.

- Gdy Bruce powiedział mi, że znów pokazujesz się w świecie, bardzo się ucieszyłam. - Głos Eleny brzmiał szczerze. - Sześć lat zamknięcia na świat to stanowczo za długo dla młodej wdowy. - Zmierzyła Luke'a przenikliwym spojrzeniem. - A pan to z pewnością Luke?

- Tak, proszę pani.

- Jianne mówi, że nigdy nie spotkała piękniejszej rodziny wojowników. Nigdy nie widziałam Jacoba, ale jeśli jest choć trochę podobny do pana, to mówiła prawdę. - Spojrzenie Eleny wróciło do twarzy Madeline. - Czy tak jest w istocie?

- Znam tylko Jacoba i Luke'a.

Bruce Yi podszedł do żony i powitał ich serdecznie.

- Jak wam się podobają obrazy?

- Dopiero zaczęliśmy je oglądać - odpowiedziała Madeline dyplomatycznie.

- Któż by pomyślał, że wystawa malarstwa może być tak kształcąca - dodał Luke.

- Bruce, może przedstawiś Madeline tym menedżerom, którzy chcą ją poznać - zaproponowała Elena. - Luke może tu na razie zostać ze mną.

Dziel i rządź. Luke dobrze znał te metody. Nie darmo był środkowym synem z pięciu. Madeline spojrzała na niego pytająco. Skinął lekko głową. Idź, powiedział jej w milczeniu. Idź i zajmij się interesami.

- Próbowałam przekonać Jianne, żeby przyszła dzisiaj na przyjęcie - mówiła Elena, prowadząc go powoli w stronę następnego obrazu. - Przyleciała z Szanghaju w odwiedziny. Niestety, była już umówiona gdzieś indziej.

Luke nie odpowiedział, tylko patrzył za odchodzącą Madeline.

- Przesyła panu serdeczne pozdrowienia - ciągnęła Elena.

- Proszę ją również pozdrowić.

- Być może Jianne wkrótce przeniesie się do Singapuru na stałe.

Te słowa przykuły uwagę Luke'a. Oderwał wzrok od Madeline i skupił się na tym, co mówiła Elena.

- Yi ma tu coś do załatwienia?

- Niezupełnie - wyjaśniła Elena. - Podejrzewam, że chce się oddalić od czegoś nieprzyjemnego.

- Owszem, to w jej stylu - uśmiechnął się Luke.

Oczy pani Yi zablęsnęły groźnie.

- Mój brat, a ojciec Jianne chciałby, by jego córka powtórnie wyszła za mąż.

- Za kogo?

- Za jedynego syna jego partnera w interesach.

- A więc chodzi o fuzję przedsiębiorstw. Elena skinęła głową.

- Bardzo korzystną dla obu rodzin.

- Czy chce pani poprosić Jake'a w imieniu Jianne o rozwód?

- Nie - powiedziała Elena cicho, wpatrując się w obraz, przed którym stali. Tym razem były to dwa zestawy kręgów wewnątrz kręgów. Oczy demona. - Chcę, żeby ją ocalił przed tym potworem.

- Panie Yi, zanim przedstawi mnie pan tym ludziom, muszę panu coś powiedzieć - rzekła Madeline. Zdawała sobie sprawę, że popełnia biznesowe samobójstwo, ale wiedziała również, że podjęła już decyzję i nie zazna spokoju, dopóki nie powie tego, co miała do powiedzenia. - Nie mam żadnego wpływu na Luke'a Bennetta ani na jego braci,

więc choć nie wiem, czego pan od nich chce, nie jestem w stanie pomóc. A nawet gdybym mogła na nich wpłynąć, nie zrobiłabym tego.

- Dlaczego?

Madeline uśmiechnęła się z żalem.

- Bo Jacob Bennett jest moim przyjacielem. Jest również jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. I przykro mi, ale nie pozwolę, żeby wykorzystał pan znajomość ze mną po to, by do niego dotrzeć.

- Nawet gdyby miało to dostarczyć korzyści firmie Delacourte?

- Znajdę jakiś inny sposób, aby rozwijać Delacourte. Lubię wielki biznes i zwykle dobrze sobie w nim radzę.

Tym razem Bruce Yi zatrzymał się. Madeline zatrzymała się również i popatrzyła mu prosto w twarz.

- Nie mogę panu pomóc - powiedziała cicho.

- W takim razie dlaczego pani tu przyszła?

- Bo Luke pragnął się dowiedzieć, czego pan chce, no i czego chce Ji od Jacoba.

- Bądź pewna, Madeline, że dowie się tego.

Madeline rzuciła spojrzenie na Luke'a i Elenę pogrążonych w rozmowie.

- Moja żona lepiej sobie radzi w takich sprawach - przyznał Bruce Yi. - Kobiety w ogóle mają więcej cierpliwości, choć wydaje się, że pani jest wyjątkiem. Powinna pani poczekać i przekonać się najpierw, czy potrzeby Jacoba Bennetta pokrywają się z potrzebami domu Yi.

No cóż, na to było już za późno.

- Honor jest rzadką i godną podziwu cechą w tym świecie zmiennych wartości - ciągnął Bruce Yi z przenikliwym spojrzeniem i lekkim uśmiechem. - Jednak zawsze najwyżej ceniłem honor, który w dodatku idzie w parze z cierpliwością. Chodźmy. - Przywołał przechodzącego w pobliżu kelnera i włożył Madeline kieliszek szampana do ręki. - Chciałbym, żeby poznała pani moich partnerów w interesach. Pozwoli to nam zaoszczędzić trochę czasu, jeśli kiedyś zdecydujemy się robić coś razem.

Pokonana jednym zręcznym ciosem Madeline sączyła szampana. Szybko się uczyła tajników wielkiego biznesu, ale trudno było zaprzeczyć, że głowa domu Yi miała przynajmniej trzydzieści lat więcej doświadczenia niż ona.

Trzeba było stanąć na wysokości zadania. Wyprostowała się, przywołała na twarz uśmiech i skupiła myśli na interesach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wystarczy już? - zapytał Luke, gdy pojawił się u boku Madeline pół godziny później.

- Aż nadto. - Obrazy nie były w jej guście, partnerzy Bruce'a Yi przepytali ją dokładnie na temat jej przyszłych planów biznesowych, brylanty Delacourte'ów ciążyły jej na szyi, a do tego wszystkiego była głodna.

Odnaleźli gospodarzy i pożegnali się. Elena wydawała się blada i niespokojna, Luke ponury. Madeline bardzo chciała znaleźć się na zewnątrz, na powietrzu albo w dojo, gdzie panowała atmosfera troski i szczerości.

W windzie zdjęła naszyjnik i kolczyki.

- Masz wewnętrzną kieszeń w tej marynarce? - zapytała Luke'a.

W milczeniu rozpiął marynarkę. Od wewnętrznej strony znajdowała się kieszonka zapinana na guzik.

- Rozepnij to, a ja potrzymam kamienie.

Wsunęła naszyjnik do jego dłoni i zajęła się upartym guzikiem, który nie chciał przejść przez dziurkę. Marynarka była ciepła w dotyku, a koszula Luke'a jeszcze cieplejsza.

Wyszli z windy. Luke wsunął naszyjnik do kieszeni i Madeline znów ją zapięła. Poczowała ulgę, uwolniona od jego ciężaru.

- Może mi wyjaśnisz, dlaczego to zdjęłaś? - zapytał Luke, patrząc na nią przez przymrużone powieki.

- Za rogiem jest bar tapas. Niezbyt wykwintny, ale dają tam dobre jedzenie i atmosfera jest swobodna. Potrzebuję teraz jednego i drugiego. To nie jest odpowiednie

miejsce do noszenia brylantów. - Spróbowała się uśmiechnąć, ale Luke nie odpowiedział jej tym samym. - Chyba że wolisz wrócić od razu do domu i porozmawiać z Jacobem? Pewnie czeka na wiadomość. Przepraszam, nie pomyślałam o tym.

- Wszystko w porządku - mruknął. - Nie wspominałem wcześniej Jake'owi o tym, że spotkam się z Bruce'em Yi. Jake bardzo ceni sobie wewnętrzną harmonię i spokój. Pomyślałem, że poczekam, aż będę miał jakieś konkretne informacje.

- Chronisz go.

- Gdy chodzi o dobro mojej rodziny, owszem, jestem opiekuńczy. Masz coś przeciwko temu?

- Nie.

W barze tapas panował półmrok i intymna atmosfera. Luke rozluźnił krawat i odpiął górny guzik koszuli. Wreszcie zaczął oddychać spokojnie. Znaleźli miejsce przy barze.

- Doskonale wyglądasz w czarnym krawacie, ale jeszcze lepiej w nieformalnym stroju.

- I to mówi kobieta, która nosi brylanty, jakby się w nich urodziła, a potem zrzuca je z szyi przy pierwszej nadarzającej się okazji. Osobiście wolę cię bez biżuterii - orzekł.

- Czy udało ci się coś ugrać z Bruce'em Yi?

- Nie mam pojęcia. Czy Elena powiedziała, czego Ji chce od Jacoba?

- Nie, ale powiedziała, czego ona sama od niego chce. Chciałaby, żeby wrócił do Ji. Mówi, że on powinien ją chronić. - Luke przyjrzał się jej uważnie. - Ile miesięcy minęło od czasu, gdy kupiłaś tę urnę, do śmierci Williama?

- Jakiś rok. - Madeline zamrużyła gwałtownie, zdziwiona nagłą zmianą tematu. - O co ci chodzi? Mogę cię zapewnić, że pogrzeb i kremacja przebiegły tak, jak powinny.

- Mniejsza o to. - Luke potrząsnął głową.

Zaczął się jednak zastanawiać, czy Madeline mogła mieć jakiś udział w śmierci męża. Nie, z pewnością nie. Zapewne to, że kupiła urnę, było tylko zbiegiem okoliczności.

Tapas, szampan i towarzystwo Luke'a Bennetta wprowadziły Madeline w swobodny nastrój. Rozluźniła się w blasku błyszczących oczu tygrysa. Luke zadziwił ją tego

wieczoru umiejętnością poruszania się swobodnie w świecie wielkiej finansjery i bogatych artystów, ale tutaj wyraźnie czuł się lepiej. Ona zresztą też. Poznała finansową elitę u boku Williama i nigdy nie ciągnęło jej do tych kręgów.

Wiedziała, że nie może się tam spodziewać ciepłego przyjęcia. Dzisiaj jednak miała ochronę. I to podwójną. Bruce Yi dał jej do zrozumienia, że znajduje się pod jego opieką. Dał to również do zrozumienia pozostałym gościom. Luke też gotów był ją chronić.

- Powiedz mi coś - odezwała się lekkim tonem. - Gdybyś kiedyś miał własną rodzinę, żonę i dzieci, to czy nadal zajmowałbyś się rozbrajaniem pocisków?

- To mój zawód. Co innego mógłbym robić?

- Nie wiem. Mógłbyś być nurkiem głębinowym albo pracować przy wydobywaniu wraków. Coś bezpieczniejszego.

- Maddy, żadne z tych zajęć nie jest szczególnie bezpieczne.

- Może nie, ale trudno mi wyobrazić sobie ciebie w biurze.

- Dzięki - mruknął sucho. - Owszem, mógłbym wydobywać wraki, ale dreszczyk nie jest taki sam jak przy amunicji.

- A co twoje rodzeństwo myśli o twojej pracy?

- Pytasz o mojego brata, który pilotuje helikoptery na lotniskowcach czy o tego, który prowadzi tajne operacje dla Interpolu? A może chcesz wiedzieć, co myśli o tym Jake?

Madeline nie była pewna, czy chce się dowiedzieć, co którykolwiek z nich myśli.

- A jakie jest zdanie twojej siostry?

- Wydaje jej się, że wszyscy jesteśmy bohaterami pławiącymi się w chwale. Odbiła to sobie, wychodząc za maniaka komputerowego - Luke uśmiechnął się szeroko. - Obecnie jej mąż zajmuje się tworzeniem nietypowych programów dla Interpolu.

- Założę się, że nie przyjęła tego spokojnie.

- Och nie - wzdrygnął się - to była jatka.

- Czy pozostali twoi bracia mają żony?

Luke skinął głową.

- Mogę ci powiedzieć od razu, że Tris zaraz po ślubie dobrowolnie zmienił pracę i teraz siedzi przy biurku, ale Pete wciąż lata na misje ratownicze. Kiedyś nie miał zwyczaju dzwonić do Sereny od razu po wylądowaniu, ale udało jej się to zmienić. Zrobiła licencję pilota helikoptera, żeby łatwiej docierać do odległych miejsc, które fotografowała. Pewnego dnia, gdy poleciała gdzieś sama, znalazła się poza zasięgiem łączności radiowej, w martwej strefie. Wiedziała o tym, ale została tam, żeby porobić zdjęcia o zmierzchu i wróciła do domu dopiero w środku nocy.

- Proste, ale skuteczne - zauważyła Madeline. - Podoba mi się to.

- To było okrutne - przyznał Luke. - Pete był strzępką nerwów.

- A co ty robisz, kiedy kobieta, z którą jesteś, nie potrafi zaakceptować twojej pracy?

- Zostawiam ją. Nic innego nie jestem w stanie zrobić.

Najwyraźniej nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby zmienić pracę.

- Czy nigdy nie masz już dość tego, że przez cały czas ocierasz się o śmierć? - zapytała cicho. - Nie masz czasem ochoty zostawić tego wszystkiego komuś innemu i po prostu odejść?

- Nie - powiedział, ale jego oczy pociemniały. - Nie w sytuacjach, gdy jestem najodpowiedniejszą osobą do tej pracy. Nie ma mnie w książce telefonicznej, Maddy, ale moje nazwisko znajduje się na kilku listach w różnych miejscach na świecie. Gdy ktoś kontaktuje się ze mną, to znaczy, że potrzebne są akurat moje umiejętności i to szybko. Nie mogę tak po prostu powiedzieć: przepraszam, dzisiaj nie mam ochoty pracować. Nie mogę.

Honor wojownika. Bezgraniczny i absolutny. Trudno było go nie podziwiać, ale szaleństwem byłoby go kochać.

Popatrzył na nią w milczeniu.

- Napijesz się czegoś jeszcze?

- Nie. Przecież prowadzę.

- Chcesz wracać do domu?

- Chyba tak - powiedziała poważnie. - Podrzucę cię.

On jednak potrząsnął głową.

- To nie tak, Maddy, nie ze mną. To ja cię odprowadzę do domu pod same drzwi, a potem na własną rękę wrócę do Jake'a.

Powinna była to przewidzieć.

Dojechali do domu w milczeniu. Zaparkowali samochód i ruszyli do windy. Maddy wpatrywała się w podłogę. Jeśli uda jej się nie patrzeć na niego, nie dotknąć go, to może wszystko skończy się dobrze.

Winda szybko dotarła na miejsce i drzwi otworzyły się z cichym szelestem.

- Dobranoc, Luke - wykrztusiła. - Dziękuję ci za towarzystwo.

- Zapomniałaś o czymś.

- Nie. - Zaryzykowała spojrzenie na niego i natychmiast poczuła ogarniającą ją falę gorąca. - O niczym nie zapomniałam.

- Brylanty. - Uśmiechnął się, rozpinając marynarkę. - Chyba że wolisz, żebym jutro przysłał je przez Po?

Zawahała się. Luke zdjął marynarkę i podał jej.

- Maddy, wiem, że postanowiłaś więcej się ze mną nie spotykać. Widzę to w twoich oczach. Wszystko w porządku. Już do tego przywykłem.

- Nie pasujemy do siebie - wykrztusiła, mocując się z opornym guzikiem. - Jesteśmy zbyt różni. Ty potrzebujesz silnej kobiety, która pozwalałaby ci odchodzić, gdy musisz zająć się pracą. Nie mam tyle siły, żeby cię kochać. Dla mnie to byłaby tylko przygoda...

- Kiedy patrzę na ciebie, nie widzę w tobie słabości - odrzekł łagodnie. - Widzę siłę i umiejętność przetrwania. I pragnę cię. Ale ty też musiałabyś mnie chcieć. A skoro nie chcesz...

Marynarka wysunęła się z bezwładnych nagle palców Madeline i upadła na podłogę windy. Nie pozwalając mu skończyć zdania, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- No, no, no - powiedział Jake, gdy Luke wszedł do malutkiej kuchni w dojo pięć minut po północy. - Wydajesz się bardzo rozluźniony.

Luke popatrzył na swoje ubranie. Wszystko było w porządku, ale na bezwładność w ciele nic nie potrafił poradzić - musiała minąć. Nie miał najmniejszego zamiaru zwracać się Jake'owi i wolał nie myśleć o tym, co zaczęło się między nim a Madeline tego wieczoru.

Spojrzenie brata przesunęło się na jego szyję.

- Ktoś cię ugryzł.

Luke bez słowa zmierzył go wzrokiem. Usta Jake'a zadrżały, ale powstrzymał się od kolejnego komentarza.

Luke wyciągnął z lodówki dwa piwa.

- Ja nie - powiedział Jake, gdy brat postawił przed nim butelkę.

Luke zastanawiał się, czy schować drugie piwo z powrotem do lodówki, ale wiedział, że prędzej czy później rozmowa zejdzie na Ji, toteż zostawił je tam, gdzie stało.

- Czy wiesz, że mąż Maddy wyszedł niespodziewanie na jezdnię i potrafiła go ciężarówka?

- Tak się składa, że wiem.

- I że Maddy rok wcześniej kupiła mu urnę pogrzebową?

Jake zamrugnął, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Chyba nie sądzisz, że to miało cokolwiek wspólnego z jego śmiercią?

Luke podniósł piwo do ust.

- Dlaczego nie? Może kupując urnę, zawarła kontrakt i wypełniła go w rok później. Takie rzeczy się zdarzają.

Jake wybuchnął głośnym śmiechem.

- Sądzisz, że Maddy kupiła urnę, wykończyła męża, a mimo to przespałeś się z nią.

Nie do wiary.

Luke otworzył usta i znów je zamknął.

- Człowieku, ty masz źle w głowie - powiedział Jake.

- Nawet jeśli, to nie tylko ja - odparował Luke. - Byliśmy dzisiaj na wystawie malarstwa w galerii Bruce'a i Eleny Yi. Znasz ich?

- Nie, a powinienem?

- Chyba tak. To wuj i ciotka Jianne. Oni wiedzą, kim jesteś.

Jake tylko wzruszył ramionami.

- Rozmawiałem z Eleną Yi. Zdaje się, że Ji ma jakieś kłopoty.

Na twarzy Jake'a nie ukazał się nawet cień emocji, sięgnął jednak po piwo.

- Jakie kłopoty?

- Ojciec Ji chce ją wydać za jakiegoś swojego współnika. Jej ciotka uważa, że ten człowiek to potwór i życzyłaby sobie, żeby zupełnie zniknął z życia Ji. Potrzebują bohatera. Najlepiej byłoby, gdybyś pojawił się tam na białym koniu.

Jake przesunął ręką po włosach. Luke milczał. Jake zawsze był najspokojniejszy ze wszystkich braci, pełnił rolę niewzruszonego przywódcy rodziny, ale nie oznaczało to, że nigdy się nie denerwuje. W tych rzadkich przypadkach, gdy emocje brały w nim górę, stawał się bardziej niebezpieczny niż wszyscy pozostali bracia razem wzięci.

- A czego chce Ji? - zapytał w końcu.

- Nie wiem - Luke sięgnął do kieszeni spodni, wyjął wizytówkę i położył ją na stole - ale w tej chwili przebywa z wizytą u wuja i ciotki w Singapurze. Tu jest ich numer telefonu, możesz do niej zadzwonić i zapytać.

Jake patrzył na czerwony błyszczący kartonik pokryty kremowymi hieroglifami, ale nie wziął go do ręki.

- Ciotka może mieć trochę nie po kolei w głowie. Księżniczka, na którą czyha potwór... to zupełnie jak z bajki.

- W takim razie wujowi też odbija - powiedział Luke. - Bo w pełni zgadza się z tym, co myśli jego żona.

Madeline spała niespokojnie, wstała wcześniej i już o siódmej była w biurze. Jej pracownicy w weekendy nie pracowali, a prawdę mówiąc, ona również nie miała tu nic do roboty. Przyszła tylko dlatego, że to było lepsze niż wylegiwanie się w łóżku i rozpa-

miętywanie zdarzeń z ostatniego wieczoru. Łatwiej było o tym wszystkim zapomnieć, niż przyznać, że jej życie zmieniło się nieodwracalnie.

Pięć po dziewiątej zadzwonił telefon. Odczekała kilka sygnałów, nim wreszcie odebrała. Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie, po czym kobiecy głos zapytał:

- Pani Delacourte? Nazywam się Jianne Xang. Wczoraj wieczorem była pani na wystawie w galerii mojej ciotki i wuja w towarzystwie Luke'a Bennetta.

- Tak - powiedziała Madeline.

- Miałam nadzieję, że poda mi pani jego numer telefonu.

- Mam jego numer w komórce. Czy mogłaby pani chwilę zaczekać? Albo może pani zadzwonić do dojo jego brata. Tam się zatrzymał. U Jake'a.

W słuchawce nieoczekiwanie zapanowało niezręczne milczenie.

- Proszę czekać, wezmę komórkę.

- *Shi shi ni* - powiedziała Jianne. Było to uprzejme podziękowanie.

Madeline podała jej numer komórki Luke'a. Jianne podziękowała jeszcze raz, tym razem po angielsku, i rozłączyła się.

Madeline spojrzała na szafkę pełną projektów, które miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego, i ukryła twarz w dłoniach. Jej rola w historii Jake'a i Jianne Xang chyba dobiegła już końca. Przedstawiciele obydwu rodzin nawiązali kontakt. Czego jeszcze mogli od niej chcieć?

Telefon znów zadzwonił. Madeline jęknęła. Jeśli Jianne Xang zamierzała ją prosić o numer telefonu do dojo, to owszem, mogła jej podać. Może Jake kiedyś jej za to podziękuje. Może Ji i Jake znów wrócą do siebie, Bruce Yi zdecyduje się robić z nią interesy, firma Delacourte znów będzie się rozwijać, a Luke poszuka sobie innego zajęcia i przestanie się zajmować rozbieraniem materiałów wybuchowych.

- Twoja gospodyni podała mi twój numer do pracy. Chyba zaczyna się do mnie przyzwyczajać. - To był głos Luke'a.

- Hej - powiedziała Madeline ostrożnie.

- Właśnie dzwoniła do mnie Ji. Podobno podałaś jej mój numer. Chce się umówić ze mną na lunch.

- Brzmi nieźle.

- No tak. Potrzebuję twojej pomocy.

- Już ci przecież pomogłam.

- Potrzebuję jeszcze czegoś. A jeśli Ji przyjdzie zdenerwowana? Jeśli zacznie płakać? - zapytał ponuro. - Co ja wtedy zrobię?

- Jak to? Honorowy wojownik nie potrafi pocieszyć roztrzęsionej kobiety?

- Ten wojownik ucieka jak najdalej od roztrzęsionych kobiet - mruknął Luke. - Dziwne, że jeszcze tego nie zauważyłaś.

W tempie, w jakim rozwijała się ich znajomość, nie miała najmniejszej szansy tego zauważyć.

- A czy ty jesteś roztrzęsiona, Maddy? - zapytał cicho. - To znaczy, z powodu wczorajszego wieczoru.

- Właściwie nie, ale mam mętlik w głowie, więc jeśli liczysz na mój jasny umysł, to muszę cię rozczarować.

- Jasność umysłu jest znacznie przeceniana. Siedzę tu i próbuję przekonać sam siebie, że chcę cię zaprosić na lunch tylko po to, żebyś mi pomogła z Ji, a w następnej chwili zaczynam obmyślać plan, jak znaleźć się z tobą sam na sam.

Cóż można było odpowiedzieć na takie stwierdzenie? Mocno zacisnęła powieki.

- Może wczoraj trochę przesadziliśmy - powiedział Luke takim tonem, jakby sam bardzo pragnął w to uwierzyć. - Może, jeśli nie będziemy się zapędzać zbyt daleko w oczekiwaniach, to ten związek będzie miał jakieś szanse.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam cieszyć się chwilą, dopóki trwa i niczego od ciebie nie żądać? Wiem, że tego właśnie oczekujesz od kobiety, Luke. Rozumiem, dlaczego tak to musi wyglądać z twojej strony. Nie jestem tylko pewna, czy mnie to odpowiada.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, Madeline - powiedział cicho. - Przyjdź na lunch.

Punktualnie o wpół do drugiej Madeline weszła do eleganckiego holu hotelu Four Seasons i skierowała się do restauracji, w której królowała kaczka po pekińsku. Zarezerwowała wcześniej stolik dla trzech osób na nazwisko Bennett. Szef sali powiedział, że ktoś już na nią czeka przy barze. Poszła w tym kierunku.

Jianne Xang wyglądała dokładnie tak, jak powinna wyglądać księżniczka z Szanghaju: drobna, doskonale ubrana i eterycznie piękna. Starła się nie okazywać żadnych uczuć, Madeline zauważyła jednak, że dziewczyna jest bardzo zdenerwowana. Oczy nie kłamały, a oczy Jianne utkwione były w drzwiach restauracji. Wyglądała jak ścigana łania i nie zwróciła żadnej uwagi na przybycie Madeline. Być może Luke nie powiedział jej, że ktoś będzie im towarzyszył przy lunchu. Madeline westchnęła z desperacją, myśląc o ignorancji mężczyzn. Jianne z pewnością dowiedziała się przy wejściu, że rezerwacja opiewa na trzy osoby, i nietrudno było się domyślić, kogo jeszcze mogła oczekiwać.

Dopiero gdy Madeline podeszła bliżej, dziewczyna spojrzała na nią i uśmiechnęła się niepewnie.

Madeline nie miała pojęcia, jak powinna się do niej zwracać. Pani Bennett? Chyba nie. Postanowiła zwracać się do niej po imieniu, mając nadzieję, że ten brak etykiety zostanie jej wybaczone.

- Jianne? - zapytała, a gdy tamta skinęła głową, mówiła dalej: - Nazywam się Madeline Delacourte. Luke prosił mnie, żebym towarzyszyła wam podczas lunchu, ale powinien uprzedzić o tym również ciebie.

- Rozumiem - powiedziała Jianne, choć było jasne, że nic nie rozumie.

- Nie zaszkodziłoby również, gdyby już przyszedł - zauważyła Madeline sucho i jej spojrzenie pobiegło w stronę drzwi. - O wilku mowa.

- Jesteś przyjaciółką Luke'a? - zapytała Ji ostrożnie.

- Coś w tym rodzaju. To skomplikowane.

W ciemnych oczach Jianne załśniło współczucie.

- Z Bennettami tak zwykle bywa.

Luke powitał Jianne uśmiechem i pocałunkiem w policzek, a potem zwrócił się do Madeline i szybko pocałował ją w usta. Zamówili kaczkę po pekińsku. W miarę jedzenia Ji zaczęła się rozluźniać. Luke zachowywał się w niezmiernie czarujący sposób, w końcu jednak spojrzał na dziewczynę i z typową dla ludzi z Zachodu bezpośredniością przeszedł od razu do rzeczy.

- Twój wuj i ciotka martwią się o ciebie, Ji. Twierdzą, że potrzebujesz pomocy Jake'a.

Jianne nie odpowiedziała od razu. Przełknęła kęs, który miała w ustach i otarła ich kącik serwetką.

- Mylą się - odezwała się w końcu. - Owszem, mam pewien problem, ale sama sobie z nim poradzę. Nie trzeba mieszać w to Jacoba ani was. Bardzo was przepraszam. Mój wuj i ciotka zadziałali nieco pochopnie. Powinnam była się domyślić, co zamierzają. Powinnam ich powstrzymać, ale nie zrobiłam tego.

- To znaczy, że gdyby Jake wystąpił o rozwód, nie sprzeciwiłabyś się? - zapytał Luke.

W oczach Jianne pojawił się błysk paniki.

- Tak. Nie - odpowiedziała niepewnie. - Nie miałabym nic przeciwko temu.

- A czy to by pomogło w rozwiązaniu twojego problemu?

- To nieistotne.

Luke odchylił się do tyłu i przeniósł pytające spojrzenie na Madeline.

- A czy Jake chce rozwodu? - zapytała.

Nie miała pojęcia, jak to się stało, że przyjęła w tej rozmowie rolę rzeczniczki Jianne. Może miało to coś wspólnego z kobiecą solidarnością.

- Nie, gdyby miało to przysporzyć problemów Ji - wyjaśnił Luke.

- Jakże miło z jego strony. - Madeline z trudem powstrzymała się, żeby nie przewrócić oczami. Z jej punktu widzenia ugodowość Jake'a świadczyła raczej o tym, że pragnie uniknąć problemów, a nie o tym, że chce zgodnie współpracować z żoną.

- A czy gotów byłby rozważyć powrót do małżeństwa, gdyby to miało rozwiązać problem Jianne?

- Nie jest aż taki miły - mruknął Luke.

- Tak tylko pytam. A gdyby przez jakiś czas udawał, że wszystko jest w porządku między nim a Jianne? Czy zechciałby to zrobić?

- Jake nic nie musi robić - powiedziała Jianne, która w końcu odzyskała głos. - Właśnie to próbuję wam powiedzieć. Nie potrzebuję jego pomocy.

- Ale byłoby dla ciebie lepiej, gdyby Jacob oficjalnie pozostał twoim mężem - zauważyła Madeline. - Przynajmniej na razie.

- Tak - przyznała Jianne niechętnie. - Tak byłoby lepiej.

Madeline spojrzała na Luke'a.

- Powiedz Jacobowi, że Jianne nie chce rozwodu.

- Jeśli Jacob chce rozwodu, dostanie go - powtórzyła Jianne z uporem.

- Gdyby Jacob chciał rozwodu, to już by go miał - odparowała Madeline. - Dość już o rozwodzie. Spróbujmy określić, jak duży jest problem Jianne. Czy ten mężczyzna, za którego ojciec chce cię wydać, bywa agresywny?

- On ma obsesję - powiedziała Jianne cicho. - Zawsze miał obsesję na moim punkcie.

- A więc boisz się go - zauważyła Madeline.

- Źle się czuję w jego towarzystwie. Za wszelką cenę staram się uniknąć przebywania blisko niego i bardzo się staram nie zostawać z nim nigdy sam na sam.

- Przerażasz mnie - mruknęła Madeline.

- A czy twoja rodzina nie może zrobić nic w tej sprawie? - zapytał Luke. - Na przykład odseparować go od ciebie? Zdaje mi się, że twój ojciec doskonale wie, jak zniechęcać zainteresowanych tobą mężczyzn.

Przez twarz Jianne przebiegł cień, ale nic nie powiedziała. Madeline spojrzała na Luke'a ostrzegawczo.

- Jianne, dlaczego twój ojciec popiera zamiary tego człowieka? - zapytała łagodnie.

- *Guanxi* - szepnęła Ji.

- *Guanxi*? - powtórzył Luke.

- Dług wdzięczności - wyjaśniła Madeline. - Ojciec Jianne winien jest przysługę temu człowiekowi. I musi to być duży dług wdzięczności.

Spojrzenie Luke'a stwardniało.

- Córka to nie przysługa.

- Ji, czy mówiłaś temu mężczyźnie, że nie jesteś nim zainteresowana?

Oczy Jianne rozbłysły gniewem.

- Oczywiście, że tak. Na tysiąc różnych sposobów. Słowami i na piśmie. Czy sprawiaam wrażenie bezmyślnej marionetki?

- To retoryczne pytanie, prawda? - mruknął Luke.

- Od twojej rodziny nauczyłam się jednego: jak bronić własnych pozycji. I zrozumiałam, że skoro potrafiłam przeciwstawić się Jacobowi, to mogę przeciwstawić się każdemu.

To były odważne słowa, ale Madeline wciąż zastanawiała się nad tym, co Jianne powiedziała wcześniej: że stara się nigdy nie pozostawać z tym mężczyzną sam na sam.

- A gdybyś zaprosiła Jacoba na jakieś przyjęcie, gdzie będzie również ten mężczyzna, przedstawiła ich sobie, a potem wyszła z Jacobem i spędziła z nim noc?

- Maddy - przerwał jej Luke, potrząsając głową.

- Mam na myśli jakieś miejsce, gdzie moglibyście spać w osobnych pokojach.

- Maddy - powtórzył Luke głośniej.

- Wówczas ten natręt zobaczyłby, że jesteś chroniona i że nie uda mu się do ciebie dotrzeć i pewnie dałby ci spokój. - Madeline dopiero teraz przeniosła wzrok na Luke'a. - Czy sugerujesz, że to zbyt skomplikowana intryga?

- Powiedzmy po prostu, że widzę tu kilka problemów - mruknął Luke.

- Ja również - dodała Ji. - Bardzo wam dziękuję, że zgodziliście się zjeść ze mną lunch i że mogliśmy porozmawiać, ale dam sobie radę. - Odłożyła serwetkę na stół, sięgnęła po torebkę i wstała. - Proszę, nie odprowadzaj mnie - dodała, widząc, że Luke również się podnosi. - Zostańcie tutaj i dokończcie jeść.

- Jeśli będziesz potrzebować jakiegokolwiek pomocy, zadzwoń - powiedział Luke. - Jake nie chce rozmawiać o swoich uczuciach do ciebie, ale jeśli będziesz potrzebowała jego ochrony, z pewnością ją otrzymasz. Przynajmniej tyle jest ci winien. Wszyscy jesteśmy ci to winni, wystarczy, że poprosisz.

- Lewa łapa tygrysa - powiedziała Jianne, uśmiechając się czule. - Tak cię nazywałam przed laty. Tristan był prawą łapą, Hallie uszami tygrysa, a Peter ogonem. Zawsze rozglądał się na boki i próbował uwolnić od pozostałych.

Luke uśmiechnął się.

- A czym był Jake?

- Sercem tygrysa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po wyjściu Jianne Madeline i Luke pozostali przy stoliku. Jeden problem mieli już z głowy, ale Madeline zupełnie nie wiedziała, jak się zająć drugim. Znacznie łatwiej było rozmawiać o czymś innym.

- Trzeba było doprowadzić do spotkania między nimi - powiedziała w końcu. - Może wynikłoby z tego coś dobrego.

- Jake nie jest na to gotowy - odrzekł Luke.

Madeline uniosła brwi i lekko wzruszyła ramionami.

- I co z tego? Ja też nie byłam gotowa na to, żeby dzisiaj spotkać się z tobą, ale przyszedłam.

Luke natychmiast wykorzystał szansę.

- Co zamierzasz zrobić, Maddy? To znaczy, z nami?

Madeline przyjrzała mu się poważnie.

- Nie wiem. Próbuję zdecydować, czy być twoją kochanką z doskoku. Osobne życie, żadnych więzi i żadnych oczekiwań. Nie szukam męża, nie potrzebuję nikogo, kto by mnie utrzymywał. Pod tym względem pasowalibyśmy do siebie całkiem dobrze. Nie wiem tylko, czy uda mi się utrzymać emocje na wodzy.

- Nie ma nic złego w tym, że nie jesteśmy sobie obojętni, Maddy. Chodzi tylko o to, żeby nie posunąć się zbyt daleko.

- Rozumiem. - Rzuciła mu zalotne spojrzenie. - A co to znaczy: za daleko?

- Wytłumaczyłem ci to wczoraj wieczorem. Możesz się wtrącać we wszystko oprócz mojej pracy.

- A gdybym ci powiedziała, że siedzimy właśnie w bardzo miłym hotelu i że miałabym ochotę obejrzeć z tobą wystrój pokoju, czy to już byłoby wtrącanie się w pracę?

- Nie, to byłoby mieszanie mi w głowie. Maddy, nasz związek nie musi być czysto fizyczny, musi tylko być... - zawahał się, szukając odpowiedniego słowa.

- Luźny i bez zobowiązań - podsunęła sucho. - Ciche windy i pokoje hotelowe. Oczywiście pod warunkiem, że akurat będziesz w Singapurze.

- Elastyczny - rzekł z naciskiem. - A jeśli chodzi o windy i pokoje hotelowe... przecież nie musimy się ukrywać, prawda? Nie ma nic złego w tym, że szukamy prywatności. To jest...

- Praktyczne - podsunęła znowu. - Neutralne terytorium?

- Tak.

Przygryzła dolną wargę. Luke patrzył na nią w milczeniu. Wiedział, że jego oferta nie jest imponująca, ale nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli ona odmówi.

- Dobrze, wojowniku - powiedziała w końcu. - Przez jakiś czas możemy spróbować gry według twoich zasad. - Jej oczy, ostrożne i poważne, napotkały jego spojrzenie. - Dam ci znać, gdy będę miała dosyć.

Dostał dokładnie to, czego chciał. Powinien być zadowolony. Ale nie był.

Pochmurny wojownik był niemal równie pociągający jak lekkomyślny. Okazało się, że Jianne zapłaciła już za lunch. Zatrzymali się w holu i Madeline spojrzała na biurko w recepcji, po czym uniosła brwi. Usta Luke'a drgnęły.

- To nie jest obskurny hotel.

- Oczywiście, że nie - odparowała. - Ma pięć gwiazdek.

Zapłacił za pokój i weszli do windy, w której znajdowała się jeszcze jedna para. Madeline wbiła wzrok w podłogę. W pokoju hotelowym czekało na nich łóżko. Bardzo chciała się przekonać, czego ona i Luke są w stanie dokonać...

Druga para wyszła z windy dwa piętra wcześniej. Nerwy Madeline były napięte jak postronki. Poczekaj, powtarzała sobie. Nie tutaj.

Drzwi znów się otworzyły. Przeszli przez sterylny korytarz i znaleźli swój pokój. Luke wsunął kartę w szczelinę i cofnął się, przepuszczając Maddy przodem.

W pokoju znajdowało się wielkie łóżko i panoramiczny widok z okna. Tu mogli zapomnieć o całym świecie. Nie było to terytorium Luke'a ani jej. Nawet jeśli nie było to zupełnie to, o czym Madeline marzyła, no cóż, przywykła już do półśrodków i kompromisów w związkach. William przyjmował z wdzięcznością wszystko, co zechciała mu dać i nigdy nie domagał się niczego więcej, zatem ona również mogła się na to zdobyć

wobec Luke'a. W gruncie rzeczy była w tym jakaś dziejowa sprawiedliwość. Życie zatoczyło krąg.

Luke zamknął drzwi i stanął przed nią. Odłożyła torebkę na bok i popatrzyła na niego, czekając na jego ruch. Nie wiedziała, o co może prosić i na co może sobie pozwolić.

- Powiedz coś - mruknął, wplatając dłonie w jej włosy.

- Na przykład co?

- Powiedz, że to jest w porządku. To, co tu robimy. Powiedz, że tego chcesz.

- Gdybym nie chciała, nie byłoby mnie tutaj. Potrafię sobie z tym poradzić, myślała gorączkowo, patrząc, jak koszula Luke'a opada na stolik.

Popołudnie przechodziło w wieczór. Światło neonów przesunęło się nad miastem i wpadło do pokoju przez cienkie, białe firanki. Leżeli na pomiętej pościeli. Jedna ręka Luke'a spoczywała na poduszce nad głową, druga luźno przytrzymywała prześcieradło na biodrach. Drzemka tygrysa, pomyślała Madeline, siadając na krawędzi łóżka. Spojrzała na niego jeszcze raz. Nie drzemał, patrzył na nią spod ciężkich powiek, chociaż ani jeden mięsień w jego ciele się nie poruszył.

- Robi się późno - zauważyła. - Powiedziałeś Jake'owi, że wybierasz się na lunch z Ji?

- Tak.

- Pewnie czeka na wiadomość od ciebie.

- Wysłałem mu SMS-a, gdy byłeś pod prysznicem. Napisałem, że z Ji wszystko w porządku.

Pochyliła się i lekko pocałowała go w usta.

- Pozwól, że zgadnę. Napisałeś mu dwa słowa, czyli cztery litery: J, I, O i K.

- Reszty może dowiedzieć się później - mruknął Luke. - Ji nie zagraża żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. - Wyciągnął rękę i dotknął jej biodra czubkami palców. Miał nadzieję, że jego pragnienie wkrótce nieco osłabnie, bo w przeciwnym wypadku musiałby coś przedsięwziąć, na przykład zamieszkać na stałe w Singapurze. Zbudować sobie tutaj życie. Znaleźć miejsce, w którym mogliby być razem i... do diabła z wolnością i pracą.

Przymknął oczy i odsunął te myśli jak najdalej od siebie. Do niczego nie prowadziły. W jego zawodzie nie należało dumać o takich sprawach.

- Odpowiada ci taki układ, Maddy? - zapytał cicho.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Na razie chyba tak - wzruszyła ramionami.

Luke powiódł palcami po jej ramieniu.

- Wracaj do łóżka. Postaram się sprawić, żeby odpowiadał ci bardziej.

Wyszli z hotelu wieczorem. Luke odprowadził ją do domu. Obiecał, że zadzwoni, nie powiedział jednak, kiedy, a Madeline nie zapytała.

Yun spędzała noc u swojej siostry. Kolacja była w lodówce. Madeline zjadła ją w kuchni, oparta o szafkę. Zazwyczaj lubiła samotność, ale tego wieczoru czuła się niespokojna. Elegancko umeblowane mieszkanie wydawało jej się dziwnie puste.

Przerzuciła program telewizyjny. Wiadomości, sport, Bollywood. Nie, lepiej nie. Japońska anime. Może? Film z Hongkongu z Jetem Li w roli głównej.

Hm. Trudny wybór. Jet Li miał bardzo ładny uśmiech. A skoro już odkryła w sobie słabość do wojowników, to może udałoby się zastąpić jednego drugim.

Dziesięć minut później za plecami miała poduszkę, przed sobą truskawki i szampana, a pod ręką pilota do telewizora i próbowała zapomnieć o Luke'u Bennecie. Tygrys wyrywał się na wolność. Madeline chciała odzyskać równowagę umysłu.

Jet Li pragnął tylko zemsty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Telefon Luke'a zadzwonił w środku nocy. Nie był to telefon, który kupił w drodze do Singapuru, tylko ten drugi, ten, który dzwonił rzadko, ale gdy już tak się stało, Luke zawsze odbierał.

Przewrócił się na bok i wciąż z przymkniętymi oczami rzucił do słuchawki swoje nazwisko. Program rozpoznający głos zajął się całą resztą.

- Wiesz, która godzina jest w Singapurze? - wymamrotał.

- Pora wstawać, księżniczko - odrzekł z rozbawieniem głos na drugim końcu linii.

Wzywały go obowiązki. Nim usłyszał wszelkie niezbędne informacje, był już w pełni rozbudzony. Wrzucił do worka narzędzia, przybory toaletowe i ubrania. Reszta potrzebnego sprzętu miała czekać na niego na miejscu.

Ściągnął pościel i zostawił ją zmiętą na łóżku. Nowo kupiony wieczorowy garnitur pozostał w szafie, na razie nie był mu potrzebny. Parząc kawę, napisał kartkę z wyjaśnieniami dla Jake'a i zadzwonił po taksówkę, która miała go zabrać na lotnisko. Rejsowym samolotem poleci do Pakistanu, gdzie już czekał na niego wojskowy transport.

Pomyślał o Madeline. Czy powinien do niej zadzwonić? I co miałby powiedzieć? Hej, Maddy, wyjeżdżam. Z pewnością zapytałaby go, dokąd, a tego nie miał zamiaru jej mówić. Potem na pewno chciałaby wiedzieć, na jak długo, ale na to pytanie niestety nie potrafił odpowiedzieć. Tydzień, może dwa.

Postawił worek przy drzwiach kuchni i przelał kawę do kubka. Może mógłby zadzwonić do biura i zostawić jej wiadomość na sekretarce? Nie musiałby jej wówczas budzić o, zerknął na zegarek, drugiej trzynaste w nocy. Nie musiałby również odpowiadać na żadne pytania ani słuchać pożegnań. Bardzo mu się spodobał ten pomysł.

Kątem oka zauważył jakiś ruch.

- Wyjeżdża pan - powiedział Po.

- Tak. A ty powinieneś wracać do łóżka.

- Ma pan rozbroić bombę?

- Coś w tym rodzaju.

- A jeśli bomba wybuchnie podczas rozbierania, to zginie pan?

- Tak - mruknął Luke. - A jeśli nawet nie zginę, to pewnie będę tego żałował.
- Więc może pan zginąć, próbując ratować ludzi, których pan w ogóle nie zna?
- To zaszczytna śmierć.

Po odwrócił wzrok, ale w jego oczach błysnął bunt.

- Możliwe, ale co z tego, skoro i tak będzie pan martwy.

Przez całą drogę na lotnisko bawił się telefonem. W taksówce czuć było zapach środka dezynfekującego. Zza okien bombardowały go światła miasta. Wciąż jeszcze nie zadzwonił do Maddy.

Racjonalna część umysłu mówiła mu, że lepiej będzie odsunąć się od niej na dystans, nie mógł jednak zaprzeczyć, że ma ochotę usłyszeć przed wyjazdem jej głos. Ale właściwie po co miałby ją budzić? Godziny przed świtem nie były najlepszą porą na telefony.

Może zadzwoni do niej później, gdy w Singapurze będzie już kolejny dzień i obydwoje będą mieli jaśniejsze umysły.

Może zadzwoni do niej z Lahore.

W poniedziałek rano Madeline powstrzymała się od sięgnięcia po telefon i wykręcenia numeru Luke'a. Postanowiła, że zadzwoni dopiero w środę wieczorem, jeśli do tego czasu nie dostanie od niego żadnej wiadomości.

Poszła jednak na lunch z Po. Miała świadomość, jak ważne jest, by ktoś otoczył teraz chłopca opieką. Poznała w życiu wielu przepracowanych i marnie opłacanych pracowników pomocy społecznej i dobrze wiedziała, że odpowiedzialność za zbłąkane dusze nie kończy się wraz z umieszczeniem ich w bezpiecznym miejscu.

Wydawało się jednak, że Po czuje się w nowym miejscu doskonale. Widać to było w jego oczach i w sposobie, w jaki mówił o swoim sensei. Trudniej było zrozumieć, jak wyglądają jego relacje z Luke'em. Gdy Madeline zapytała, czy znów trenowali ostatniego wieczoru, twarz chłopca pociemniała.

- Luke wyjechał.

Madeline poczuła się dziwnie osamotniona. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to uczucie jest przykrywką dla lęku.

- Dokąd?

- Nie wiem. Wczoraj w nocy dostał telefon i wyjechał do pracy.

Wiedziała, że to się w końcu stanie. Ostrzegał ją przecież. Miała ochotę przesłuchać chłopca, wypytać go o szczegóły, ale powstrzymała się.

- Luke wie, co robi - rzekła słabym głosem, próbując przekonać samą siebie. - Nic mu się nie stanie.

Wzięła głęboki oddech i żeby się uspokoić, spróbowała wyobrazić sobie białe niebo pokryte białymi obłokami, delikatny zapach kwitnącego drzewka pomarańczy, przelotne wspomnienie uścisku matki. W końcu sięgnęła po widelec i zaczęła jeść.

- Czy myśli pani, że on tu wróci? Do Singapuru? - zapytał Po.

Widelec Madeline zatrzymał się w połowie drogi do ust.

- Nie wiem - wychrypiała. - Chyba będziemy musieli poczekać i przekonać się.

Luke Bennett wrócił do Singapuru sześć dni później, spięty i śmiertelnie zmęczony. Pod wpływem impulsu wsiadł w samolot do Singapuru zamiast, jak zwykle, do Darwin. Niewiele brakowało, a pojechałby od razu do mieszkania Maddy, nieogolony i drżący z wyczerpania. Na szczęście w ostatniej chwili zdrowy rozsądek zwyciężył i Luke podał taksówkarzowi adres Jake'a.

Wkroczył do dojo o siódmej wieczorem i gdy stanął w progu, opierając się całym ciężarem ciała o futrynę, zrozumiał, że popełnił błąd. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

- O co chodzi? - zapytał ostrożnie.

Jake przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

- Co ci się stało?

Trzeba było wrócić do Darwin i tam dojść do siebie. Zawsze tak robił. Tutaj obserwowało go zbyt wiele oczu. Jego wzrok powędrował w stronę półki nad zlewem, gdzie stała butelka szkockiej. Jake bez słowa sięgnął po butelkę i postawił ją na stole wraz ze szklanką.

Luke rzucił worek na podłogę. Pomieszczenie zawirowało mu w oczach.

- Siadaj - powiedział Jake.

- On jest ranny - zauważył Po.

- Widzę. Co ci się stało w ramię?

- Mam tam trochę metalu.

- Ile?

- Nie tak dużo. Wystarczy zwykły felczer, pęseta i bandaż - wychrypiał Luke. - To naprawdę nic takiego. Kość jest nienaruszona. Po prostu jestem zmęczony.

- Po, zanieś tę torbę do pokoju.

- W środku jest butelka szkockiej ze sklepu wolnocłowego - mruknął Luke. - Możesz ją tutaj zostawić.

Po znalazł butelkę i postawił ją na stole, a potem, nie spuszczać podejrzliwego spojrzenia z twarzy Luke'a, zarzucił sobie ciężki worek na ramię i wyszedł. Dopiero gdy chłopak zniknął, Jake zadał kolejne pytanie:

- Gdzie byłeś?

- W Afganistanie.

- Bardzo kiepsko?

- Dosyć. Fragment drogi najeżony niespodziankami. Snajperzy na wzgórzach.

Wzrok Jake'a znów powędrował w stronę ramienia brata. Ten zdrową ręką sięgnął po butelkę i nalał sobie szczodłą porcję.

- Były jakieś ofiary?

- Nie. - Szkocka paliła go w gardło. - Tym razem było się bez ofiar.

Po znów wśliznął się do kuchni i zatrzymał się poza zasięgiem wzroku Luke'a.

- Położyłem nową pościel na łóżku.

- Dzięki. - Luke nie był pewien, czy zmiana pościeli należy do obowiązków Po.

Podejrzewał, że chłopiec próbuje mu matkować. Rany boskie.

- Jest pan głodny? - zapytał chłopak. - Umiem już przeczytać menu w restauracji.

- Po chińsku i po japońsku - mruknął Jake.

- Po jest bardzo bystry.

- W takim razie karate jest dla niego za proste.

- Na widok gniewnego spojrzenia brata Luke zaśmiał się cicho. - Nie musisz nic dla mnie zamawiać, jadłem w samolocie. I, Po - pochwycił spojrzenie chłopaka - zaimponowałeś mi.

Po rozpromienił się i przysunął się nieco bliżej.

Potrzebował jeszcze się napić i położyć się do łóżka. Przedtem prysznic, chociaż na razie nie sądził, by udało mu się utrzymać na nogach. W takim razie prysznic po obudzeniu, a potem Maddy.

- Jak się miewa nasz anioł miłosierdzia? - wychrypiał.

- U Maddy wszystko w porządku - odrzekł Jake sucho. - Była tu wczoraj. Powiedziałem jej, że nie mieliśmy od ciebie żadnych wiadomości i że to jest normalne.

- Bo jest normalne.

Jake znów uśmiechnął się sucho.

- Może dla ciebie. A tak w ogóle, będzie budować te apartamenty.

- Bruce Yi zgodził się z nią współpracować?

Jake skinął głową.

- Maddy powiedziała mi, że nie ma mowy o żadnym *guanxi*. Oczywiście nie przeszkodziło jej to dodać, że jej zdaniem Jianne pakuje się w kłopoty i że wszystkich ludzi na świecie tylko ja jeden mogę jej pomóc.

- Bardzo możliwe, że ma rację. - Luke wzruszył ramionami i poczuł przeszywający ból.

- Pokażesz mi tę ranę? - zapytał Jake.

- Jest czysta. Zażyłem penicylinę, a jutro mam się zgłosić do szpitala na zmianę opatrunku. Zdaje się, że środki przeciwbólowe przestają działać. To wszystko na ten temat. A teraz muszę się przespać.

Z trudem powlókł się w stronę sypialni. Jake patrzył za nim w milczeniu. Po podszedł do drzwi i oparł się o futrynę.

- Nie pójde dzisiaj spać - powiedział. - Będę go pilnował.

- Obydwaj będziemy go pilnować - dodał Jake.

Luke spał mocno i bez snów. Następnego ranka obudził się późno. Wziął prysznic, ogolił się i natychmiast poczuł się lepiej. Po i Jake'a nigdzie nie było widać, poszedł więc

na śniadanie do baru po drugiej stronie ulicy. Wielka porcja smażonej wołowiny z warzywami i gorąca jak ukrop kawa z mlekiem skondensowanym sprawiły, że znów poczuł się jak człowiek.

Gdy wrócił, Jake i Po trenowali w dojo. Luke rzucił chłopcu szybki uśmiech i gestem zasygnalizował, by sobie nie przeszkadzali. Była prawie dziesiąta rano. Madeline z pewnością siedziała już w pracy. Próbował zadzwonić do niej z Lahore, ale nie udało mu się połączyć, a potem już nie miał takiej możliwości. To, że się z nią nie skontaktował, ciążyło mu jak kamień.

Telefon odebrała sekretarka. Zapytała go o nazwisko i kazała zaczekać. Po chwili usłyszał głos Maddy.

- Jesteś w Singapurze?

- Tak.

- Cały i zdrowy?

- Mniej więcej.

- Co to znaczy?

- Ależ ty jesteś podejrzliwa. Mam draśnięte ramię. Nic poważnego, ale przez jakiś czas nie będę mógł robić pompek.

- Aha. A czego jeszcze nie będziesz mógł robić?

- Muszę się dopiero przekonać. Może się gdzieś spotkamy? - zapytał cicho, wychodząc z dojo.

Madeline zawahała się.

- Powiedz mi coś - poprosiła nieco zbyt spokojnym tonem. - Jak zazwyczaj zrywasz z kobietami, z którymi sypiałeś? Tak po prostu wyjeżdżasz do pracy w środku nocy i nie wracasz? A może dzwonisz do nich i mówisz: hej, było miło, ale teraz znikam? A może: hej, teraz znikam, ale mam nadzieję, że kiedyś wrócę i wtedy do ciebie zadzwonię?

Luke skrzywił się.

- Wiem, że powinienem zadzwonić - mruknął - ale wyjeżdżałem nad ranem i nie chciałem cię budzić. Próbowałem dzwonić z Lahore, ale nie udało mi się połączyć, a potem już nie miałem takiej możliwości.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Powiedz coś, Maddy.

- Wiedziałam, że gdy wyjedziesz, czekają mnie ciężkie chwile, ale najgorsze było to, że nie miałam pojęcia, na czym stoimy, ty i ja. Czy to już koniec, czy jeszcze nie? Czy zamierzasz wrócić do Singapuru? To za trudne dla mnie, Luke. Budzą się we mnie demony z dzieciństwa. W rodzinach zastępczych nikt cię o niczym nie uprzedza. Idziesz tam, gdzie cię posyłają. Zaczynasz się rozluźniać, myślisz, że może tym ludziom choć trochę na tobie zależy, a potem pewnego dnia budzisz się i okazuje się, że już cię tam nie chcą. Bez wyjaśnień. Jakbyś w ogóle nie istniał.

- Do diabła, Maddy, nie chciałem...

- Nie. Słuchaj. Słuchaj mnie uważnie. Dopiero bezwarunkowa miłość dobrego człowieka przekonała mnie, że jestem cokolwiek warta. To trwało lata i było bardzo trudne. A teraz wystarczył jeden poranek bez telefonu od ciebie i wszystko wróciło. Muszę to brać pod uwagę, gdy dzwonisz ni stąd, ni zowąd i pytasz, czy znów chcę cię zobaczyć. Szczerze mówiąc, nie wiem. I tym razem nie chodzi mi już tylko o to, czy będę potrafiła sobie poradzić z twoją pracą. Nie wiem, czy moje poczucie własnej wartości jest na tyle silne, by wytrzymać taką zabawę.

- Nie zniknąłem - odpowiedział i poczuł, że do jego serca wkrada się lęk. - Jestem tutaj. Nie mogę ci obiecać, że zawsze będę wiedział, na czym stoimy, ale obiecuję, że powiem ci tyle, ile sam wiem. - Przymknął oczy i poczuł zmęczenie. - Nic nie poradzę na to, że boisz się o mnie, gdy jestem w pracy, ale w przyszłości mogę cię uprzedzać o wyjazdach.

- Luke.

- Umów się ze mną na kolację.

W słuchawce znów zaległo pełne napięcia milczenie.

- Po południu czeka mnie sporo spotkań i naprawdę nie mam ochoty wychodzić nigdzie wieczorem - powiedziała w końcu.

Luke poczuł pustkę.

- Mam inny pomysł. Yun przygotowuje kolację i spotkamy się u mnie, ale niczego ci nie obiecuję. To jest propozycja rozejmu - dodała. - Myślę, że nie zasłużyłeś na to.

- Przyjmuję - rzekł bez namysłu i zaczął przygotowywać się do kampanii.

O siódmej wieczorem Yun otworzyła mu drzwi. Przygotowanie na wojnę oznaczało wygodny strój : znoszone dżinsy i zapinaną na guziki koszulę, którą mógł szybko rzucić, nie uszkadzając opatrunku na ramieniu. Spojrzenie Yun zatrzymało się właśnie na tym ramieniu. Może trzymał je nieco zbyt sztywno, a może Yun miała rentgen w oczach, ale w każdym razie patrzyła dokładnie na miejsce, gdzie kula przebiła skórę.

- Tygrys nie powinien dać się zaskoczyć myśliwemu - stwierdziła ponuro.

- Czy zastałem Madeline? - zapytał Luke spokojnie.

- Tak.

Żadne z nich się nie poruszyło.

- Czy możesz używać widelca? - zapytała w końcu Yun.

- Tak. - Był leworęczny, a rana znajdowała się w prawym ramieniu.

- Przydałby ci się temblak. - Temu stwierdzeniu towarzyszyło uniesienie brwi wydepilowanych w dwie cienkie kreski. - Mogę ci zrobić.

- Może dasz mi go przy wyjściu - zasugerował Luke łagodnie.

- Dlaczego? Sądzisz, że Madeline nie zauważy, że cię boli? Przecież ma oczy.

- Wiem, ale spróbujmy nie ściągać jej uwagi na ten drobny szczegół, dobrze?

- Jasne. Rozumiem twój plan i popieram go w pełni. Wolisz ściągnąć uwagę Madeline na własną głupotę. To powinno się powieść.

Luke niezupełnie to miał na myśli.

- Jest w salonie? - zapytał.

- W małym saloniku. Musisz przejść przez duży salon do korytarzyka po drugiej stronie i potem drugie drzwi na lewo. Czy mam ci narysować mapę?

Luke sięgnął do kieszeni i wyjął plastikową torebkę, w której znajdowała się mieszanka tajemniczych chińskich ziół, przypraw i aromatów zmielonych na drobny proszek.

- To dla ciebie, na poprawę humoru. Nie jestem pewien, co należy z tym zrobić, ale podobno działa. Kupiłem to po drodze.

Yun wzięła woreczek z jego rąk i mruknęła:

- Amatorszczyzna.

- Okaż im nieco zaufania - uśmiechnął się Luke, podając jej wizytówkę sklepu. - Tu jest napisane, że ta firma zaopatrywała trzech cesarzy, dwie zagraniczne królowe i córkę sułtana.

- I wszyscy już nie żyją. - Yun popatrzyła na wizytówkę i prychnęła. - Mam ci powiedzieć, co tu jest naprawdę napisane?

- Chyba wolę nie wiedzieć - uśmiechnął się Luke i poszedł w głąb mieszkania.

Mały salonik był urządony podobnie jak duży: wielki telewizor, doskonały sprzęt grający i DVD, fantastyczne meble i eklektyczny styl. Wygoda i wyrafinowanie. Łatwo było poczuć się dobrze w takim wnętrzu, trudniej na coś takiego zarobić. To był jeden z największych dylematów Luke'a, jeśli chodziło o tę kobietę. Wiedział, że jeśli zdecyduje się na poważniejszy związek z nią, to będzie musiał pogodzić się z jej poziomem życia albo ściągnąć ją do swojego.

Pozornie nie przedstawiało to żadnych trudności. Mógł mieszkać wszędzie. Singapur był dla niego tylko węzłem komunikacyjnym. Gdyby jednak zdecydował się tu zamieszkać, to musiałby mieć własne miejsce, za które sam płaciłby czynsz i które z pewnością nie byłoby tak luksusowe jak mieszkanie Maddy.

Usłyszała jego kroki i odwróciła się do drzwi. Ona również miała na sobie spłowiałe dzinsy i zwykłą bawełnianą koszulkę. Włosy związała w luźny koński ogon.

- Witaj, wojowniku - mruknęła sucho. - Miło znów cię widzieć żywego.

- Ty też dobrze wyglądasz - odwdzieczył się jej.

- Dziękuję.

Zauważył cień rumieńca na jej policzkach. Sięgnęła po pilota i przerzuciła kanały.

- Twój brat dzwonił - powiedziała po chwili.

- Czego chciał?

- Powiedział, że mam cię odesłać do domu wcześniej albo zatrzymać na całą noc. Uważa chyba, że przez tę ranę trochę ma ci się w głowie. - Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - I chyba ma rację.

- Maddy, nie zaczynaj - poprosił Luke. - Jake i Po próbowali się mną opiekować przez cały dzień. Mam już dość matkowania.

- Biedne dziecko. A potem znowu wyjedziesz i pozwolisz, żeby cię postrzelili.

Yun wniosła do salonu srebrną tacę, na której stała karafka wypełniona bursztynowym płynem. Luke miał nadzieję, że to szkocka. Mała gospodyni zatrzymała się przy jego łokciu i spojrzała na niego surowo.

- Wypij.

- Co to jest? - W karafce pływały jakieś patyki.

To nie mogła być szkocka. Yun nie czekała długo, by się zemścić.

- Dobrze dla ciebie - stwierdziła. - Pij.

Wziął do ręki szklankę w nadziei, że Yun wyjdzie, ale gospodyni spojrzała na Maddy, szukając u niej wsparcia.

- Wypij - powtórzyła Maddy.

- Ty pierwsza - wyciągnął do niej szklankę.

- Myślisz, że próbuję cię otruć? - Wzięła od niego szklankę i upiła łyk. Odebrał od niej szklankę i wypił jednym haustem, po czym pogryzł gałązki. Yun wreszcie wyszła, ale zaraz znów wróciła z tacą pełną jedzenia. Było tego o wiele za dużo dla dwóch osób, ale może Maddy miała apetyt większy, niż przypuszczał.

- Spodziewasz się jeszcze jakiś gości? - zapytał.

Powędrowała wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem i uśmiechnęła się lekko.

- Nie.

- Jadasz za troje?

- Mam nadzieję, że nie, bo zdaje się, że to nie pasuje ani do twoich planów, ani do moich.

- A czy zamierzasz mieć dzieci kiedyś, w dalszej przyszłości?

- Naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Nie miałaś takich planów przy Williamie?

- Nie - odrzekła po chwili wahania. - I to nie z powodu jego wieku ani dlatego, że nie chciałam mieć z nim dzieci. William był bezpłodny, a ja uznałam, że jeśli kiedyś dopadnie mnie instynkt macierzyński, to mogę go rozładować, pomagając walczyć o lepsze życie niechcianym dzieciom.

- I czy ten instynkt kiedyś się odezwał? - zapytał Luke ostrożnie.

Madeline uśmiechnęła się.

- Spokojnie, wojowniku. Nie zamierzam cię zrobić w ojcostwo. Nie jesteś do tego najlepszym kandydatem.

Dobrze o tym wiedział, ale ta uwaga mimo wszystko ukłuła go. Skupił się na jeździe. Madeline miała rację. Jego życie nie sprzyjało nawiązywaniu więzi żadnego rodzaju.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś mi przez telefon. O twoich potrzebach w związku i o tym, co ja mogę ci dać. Mam kilka pomysłów.

Na jej twarzy pojawiła się ostrożność.

- Pomyślałem, że odpowiem ci na wszelkie pytania dotyczące mojej pracy, jakie tylko zechcesz mi zadać. Myślę, że im więcej będziesz wiedziała, tym mniej będziesz się martwiła o moje bezpieczeństwo.

Wzrok Maddy zatrzymał się na jego ramieniu.

- Dlaczego mam wrażenie, że niezbyt często pozwalasz komuś zadawać pytania?

- Bo jesteś inteligentna. - Fakt, to się zdarzyło po raz pierwszy. Nie rozmawiał o swojej pracy z nikim, nawet z braćmi.

Potała dłońią kark, żeby ukryć zdenerwowanie.

- No dobrze - powiedziała ostrożnie. - Pierwsze pytanie. Czy wtedy, gdy jesteś w pracy, można się z tobą w jakiś sposób skontaktować? Czy jest jakiś numer, pod który mogę zadzwonić?

To nie było trudne.

- Można się ze mną skontaktować przez komórkę, dopóki nie znajdę się w strefie zagrożenia. Gdy już tam jestem, kontakt się urywa. Istnieją numery, które mogę ci podać na wypadek pilnej potrzeby.

- Jak długo zwykle pozostajesz w tej strefie zagrożenia?

- To zależy. Większość czasu zajmują mi podróże. Poza tym jest jeszcze planowanie, wypełnianie papierów i cała reszta. Rutynowe rozminowanie zajmuje bardzo niewiele czasu. Zwykle wiem dokładnie, z jaką bronią mam do czynienia i co muszę zrobić. Wchodzę tam, robię swoje i wychodzę. To raczej minuty niż godziny.

- Brzmi tak, jakby to było bardzo łatwe.

- Bardzo lubię łatwe zlecenia, ale od czasu do czasu biorę udział w operacjach wojskowych i wtedy nie ma możliwości kontaktu ze mną przez całe tygodnie. Na niezabezpieczonym terytorium komunikacja jest bardzo ograniczona. Strefy wojny i temu podobne. Takich zleceń nie ma dużo, ale zdarzają się.

- I to ostatnie zlecenie było właśnie takie?

- Tak.

Madeline znów spojrzała na jego ramię.

- Następnym razem, gdy będę wyjeżdżał, jeśli ci powiem, że to rutynowe podniesienie uzbrojonego pocisku, to nie będziesz musiała się martwić.

- Tak ci się tylko wydaje - stwierdziła sucho. - Chociaż jestem ci naprawdę wdzięczna za to, że próbujesz mnie uspokoić.

- Z czasem jest coraz łatwiej, Maddy.

- Naprawdę? A skąd wiesz? - Rozbawienie mieszało się w jej głosie z ironią. Luke bardzo się ucieszył. O wiele bardziej wolał pewną siebie, wygadaną Madeline od tego wrażliwego dziecka, którego za nic nie chciał zranić.

- Tak słyszałem. Żony chłopaków z marynarki przysięgają, że prawie wcale nie martwią się o swoich mężów.

- A zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego?

- Nabyta odporność.

- Obojętność - odparowała Madeline.

- Jesteś cyniczna.

- A ty jesteś idealistą.

- Tęskniłem za tobą.

Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest mi zaryzykować?

- Myślę, że rozumiem - odrzekł cicho.

- Mój ojciec doprowadził się do samozniszczenia. Mój brat też. Obydwaj szukali śmierci, a ja w żaden sposób nie potrafiłam ich powstrzymać.

- Maddy, ja nie jestem taki jak oni.

- Nie?

- Nie. - Napotkał jej wzrok. - Nie szukam śmierci. Nienawidzę jej. Robię wszystko, co mogę, żeby nie zagarniała niepotrzebnych istnień i żeby nie zabrała mnie. Chronię to, co kocham, Madeline. Nie uciekam przed zagrożeniem.

Madeline wzięła głęboki oddech i zamrugła, żeby odpędzić łzy.

Yun znów weszła, żeby pozbierać talerze. Madeline zauważyła, że oczy gospodyni otworzyły się szeroko, gdy zauważyła, ile jedzenia zniknęło. Na jej ustach przez chwilę pojawił się uśmiech. Luke też to zauważył i natychmiast skorzystał ze sposobności.

- Dziękuję, Yun - powiedział, składając talerze na stertę.

- Nie ruszaj ręką - parsknęła gospodyni i uderzyła go lekko w ramię. - Głupiec. Coraz mniej przypominasz tygrysa, a coraz bardziej bawołu.

- Bo jestem silny i stały? - ucieszył się Luke.

- Uparty - poprawiła Yun. Luke wskazał na pusty talerz.

- Co to było?

- Pieczona kaczka ze słodkim sosem, czerwonym chili i imbirem. Smakowało?

- Bardzo.

- Daje siłę - mruknęła Yun i wyszła.

- Może przejdziemy do dużego salonu? - zaproponowała Madeline. - Tam chyba będzie ci wygodniej.

Usiedli na sofie. Madeline znów przeczuciła kilka kanałów w telewizorze, a ponieważ nie znalazła niczego odpowiedniego, w końcu włączyła muzykę. William był miłośnikiem muzyki klasycznej i Madeline z czasem również ją pokochała. Odnajdywała w niej wszystkie odcienie emocji, na które nie istniały żadne słowa.

- Ładne - mruknął Luke, patrząc na nią. - Zastanawiałem się nad zamieszkaniem w Singapurze. Na stałe.

Wstrzymała oddech.

- To znaczy, mógłbym się zatrzymywać tutaj między jednym zleceniem a drugim. Nie w dojo. Znalazłbym sobie własne miejsce.

- Potrzebowałbyś mieszkania i pracy - powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

- Mam pracę.

- Pracy, która przyniosłaby jakiś pożytek ludziom z Singapuru.

- Sądzisz, że nie widzą mojej pracy w tym świetle?

- Nie mam pojęcia, co myślą - odrzekła z brutalną szczerością - ale jeśli mówisz poważnie, to przydałyby ci się jakieś listy referencyjne.

- Jasne. Chciałbym tu zamieszkać z kilku powodów. Między innymi po to, żeby być bliżej rodziny. Poza tym Singapur jest ważnym węzłem komunikacyjnym. No i oczywiście ty tu jesteś.

Serce mocno zadudniło jej w piersi. Nadzieja walczyła o lepsze z lękiem.

- Nie próbuję siłą wciągać cię w związek, który cię nie interesuje, Madeline, ale powiedziałaś przez telefon, że chcesz wiedzieć, na czym stoimy. Potrzebujesz deklaracji moich intencji, więc ci ją daję. Chcę zobaczyć, do czego moglibyśmy dojść. Chcę poświęcić na to trochę czasu i sprawdzić, co z tego wyniknie. Takie są moje intencje.

- Naprawdę gotów byłbyś zmienić swoje życie, by zrobić w nim miejsce dla mnie?

- zapytała urywanym głosem.

- To nic takiego, Maddy. Zmiana miejsca zamieszkania jest dla mnie o wiele łatwiejsza niż dla wielu innych ludzi. Nie mam wiele bagażu, nie ciągnę za sobą tylu rzeczy, co inni.

- Luke - przerwała mu. - Cicho bądź. Psujesz moją wielką chwilę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym się nią jeszcze trochę nacieszyć.

Na jego twarz powoli wypełził uśmiech.

- A więc podoba ci się ten pomysł?

Musiała się jeszcze nad wszystkim zastanowić, ale owszem, podobał jej się.

- Powiedzmy, że zaczynam się do niego przekonywać. - Podeszła do niego, usiadła mu na kolanach i pocałowała go. - To wszystko brzmi tak prosto.

- Bo jest proste. - Tym razem to on ją pocałował. - Bardzo lubię łatwe zadania.

- Witaj w Singapurze - szepnęła.

Luke został na noc.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Luke obudził się powoli. Skrzywił się, przewrócił na bok i najpierw przypomniał sobie o rannym ramieniu, a dopiero potem dotarło do niego, gdzie się znajduje. To było łóżko Madeline tylko że Maddy w nim nie było. Zegar przy łóżku pokazywał dziesięć po jedenastej. Z pewnością była już w pracy.

Przechylił się przez krawędź łóżka i w stercie ubrań na podłodze znalazł swój telefon.

- Wyszłaś bez pożegnania - powiedział, gdy wreszcie się do niej dodzwonił.

- Ty też.

- Następnym razem obudź mnie - wymruczał - bo gdy kiedyś znów wezwą mnie do pracy, to ja cię na pewno obudzę.

- Będę ci bardzo wdzięczna - odrzekła gładko.

- Wciąż jestem u ciebie. - Powinien wziąć prysznic, ale uznał, że to może poczekać, aż dotrze do dojo Jaka. - Jak mogę wyjść z twojego mieszkania, nie napotykając po drodze tej małej wiedźmy?

- Nie uda ci się. Yun ma zamiar nakarmić cię, zanim wyjdiesz. Zostawiłam ją nad stertą książek kucharskich opisujących, czym należy karmić zranionych wojowników.

- Są do tego specjalne książki kucharskie?

- Oczywiście. Niektóre z nich datują się jeszcze na poprzednie dynastie. Mam nadzieję, że lubisz owsiankę?

- Yun nie musi sobie zawracać tym głowy - rzekł Luke z popłochem.

- Och, to żaden problem. - Wyraźnie usłyszał uśmiech Madeline. - Muszę już kończyć. Mam zaraz spotkanie, ale cieszę się, że dobrze spałeś i mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. Czy wystarczy już matkowania?

- Możesz zajrzeć do dojo, wracając do domu z pracy - mruknął. - O parę przecznic stąd na wschód jest puste mieszkanie, które zamierzam obejrzeć. Należy do pana Chin, który prowadzi bar naprzeciwko dojo Jaka.

- Chcesz wynająć mieszkanie, zanim dostaniesz pozwolenie na pobyt w Singapurze? - zdziwiła się Madeline. - To śmiałe posunięcie, wojownika. Powiedziałabym, że wręcz lekkomyślne.

- Chin gotów jest wynająć na miesiąc, dopóki nie dojdę do ładu z papierami. Ja wolę uważać, że jest to perspektywiczne myślenie. Skoro Delacourte inwestuje w mieszkania do wynajęcia, to pomyślałem, że warto zasięgnąć twojej opinii w sprawie lokalizacji i ceny.

- Oportunista - mruknęła.

- Więc pójdziesz ze mną obejrzeć to mieszkanie?

- Oczywiście. Mogę się dzisiaj zorientować w cenach. Również w możliwościach wynajęcia czegoś od Delacourte, jeśli cię to interesuje. Czy to jest umeblowane?

- Nie.

- Naprawdę nie lubisz iść na łatwiznę - westchnęła.

- W Singapurze są sklepy. Kupię sobie łóżko, lodówkę i stół, a jeśli nie dostanę zgody na pobyt, to oddam je Jake'owi. Wiesz, dzięki za propozycję, naprawdę, ale gdybym został twoim lokatorem, to czułbym się jeszcze gorzej niż jako pasażer wożony twoim samochodem.

- Skoro tak uważasz - odrzekła chłodno.

- Cóż, ty masz swoje problemy, Maddy, a ja moje. Musimy okazać sobie nawzajem trochę tolerancji.

- No dobrze - powiedziała głosem wypranym z wszelkich emocji. - Spotkamy się o siódmej wieczorem. Obejrzę to mieszkanie, a potem możesz mnie zabrać na kolację. To będzie zapłata za moją ekspertyzę. Jak ci się to podoba?

- Doskonały pomysł. Na pewno nie uda mi się stąd wyjść, unikając Yun?

- Nie, chyba że jesteś supermanem i umiesz latać. Przygotuj się na śniadanie, wojownika. Yun lubi gotować dla ludzi, którzy lubią jeść. Widziałam cię w akcji wczoraj wieczorem i mam pełne zaufanie do twoich możliwości.

- Przyjemnego spotkania - powiedział. - Idź rozwijać swój biznes.

- Cieszę się, że pomyślałeś o tym, żeby zadzwonić do mnie po przebudzeniu - dodała po chwili. - Cieszę się, że zadzwoniłeś.

Dwa tygodnie minęły Madeline pracowicie. Siedziała nad projektem, a Luke tymczasem zajmował się umeblowaniem mieszkania. Zgromadził kolekcję niepasujących do siebie stołów i krzeseł. Niektóre krzesła dostał od Jake'a, a niektóre z restauracji pana Chin. Do tego dokupił sobie nową lodówkę i nowe łóżko.

Okazało się, że dobrze sobie radzi z młotkiem. Razem z Po zdobyli tuzin starych drewnianych palet i zbili z nich półkę na książki oraz dwa małe stoliki. Potem zaczęli pracę nad drugą półką. Tym razem miała być przeznaczona dla senseia. Następne na ich liście było biurko. Luke zdobył na nie pięknie wybarwione stare drewno. Biurko miało być dla Po.

Należąca do Luke'a kolekcja narzędzi wciąż rosła i wraz z nią rosło rozbawienie Maddy. Luke nie miał jeszcze sztućców ani garnków i spojrzał na nią z niezrozumieniem, gdy zasugerowała, by je kupił.

Po spędzał w mieszkaniu Luke'a mnóstwo czasu. Madeline stała się tam stałym gościem. Pojawiała się często bez zapowiedzi.

Tego wieczoru jednak otrzymała od Yun instrukcję, że ma przyprowadzić tygrysa na kolację, bo Yun ugotowała jedzenie i ktoś musi je zjeść.

Madeline skrzywiła się boleśnie i poczuła przyływ wyrzutów sumienia. Przez ostatnie dwa tygodnie zajmowała się swoją pracą, troszczyła się o Luke'a i o Po, zapomniała tylko o Yun.

- Mam dla ciebie zaproszenie na kolację - powiedziała, wkraczając tego wieczoru do mieszkania Luke'a. Od poprzedniego wieczoru przybył tu kawiarniany ekspres do kawy zapewne pochodzący z lokalu pana Chin. Wyglądało na to, że ekspres nie nadaje się do użytku, bo różne jego fragmenty poniewierały się po wszystkich blatach w kuchni.

- Dzisiaj zjemy u mnie. Yun przygotowała kolację, możesz zostać do jutra.

- Świetnie - oznajmił Luke pogodnie. - Czy mam coś zabrać?

- Urok osobisty. Yun czuje się zaniedbana.

Yun otworzyła im drzwi i obrzuciła Luke'a spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Luke wygrzebał z kieszeni pakiecik i podał jej bez wstępów.

- To dobre czary - powiedział.

Kolacja pachniała fantastycznie. Po półgodzinie stolik w małym saloniku ugiął się pod ciężarem delikatesów.

- Pierwsze danie - powiedziała Yun. Tym razem Luke poszedł za nią do kuchni. Przyjrzał się potrawom, które były w różnych fazach przygotowania. Yun musiała spędzić nad tym cały dzień. Żadne z dań nie wyglądało na proste w przygotowaniu, a wszystkie pachniały bosko.

Madeline weszła za nimi do kuchni i na widok jedzenia otworzyła szeroko oczy. Usta jej zadrgały.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny.

- Chyba żartujesz - odpowiedział Luke. - Potrzebujemy więcej ludzi.

Madeline sięgnęła, więc po telefon i zaprosiła Jake'a i Po. Oczy gospodyni zapłonęły radością.

Klan Bennettów, do którego teraz należał również Po, bardzo poważnie zabrał się do uczy. Yun wreszcie zaczęła się uśmiechać, a rozpromieniła się zupełnie, gdy na koniec posiłku Po oświadczył, że pomoże jej pozmywać. Był w tym prawdę dobry.

Po tym wieczorze ich związek trochę się zmienił. Luke zdał sobie sprawę, że Yun lubi towarzystwo i zaczął odwiedzać Madeline częściej, zwykle przyprowadzając ze sobą Po. Czasami również pod nieobecność Madeline. Pewnego wieczoru, gdy wróciła do domu z pracy, zastała Luke'a, Jake'a i Po, którzy na dachu uczyli się od Yun tai chi. A więc miała teraz coś na kształt rodziny.

Luke oglądał zdjęcia, które pokazywały się po kolei w cyfrowej ramce do fotografii Madeline.

- To Remy - wyjaśniła mu któregoś wieczoru - mój brat. - Chłopak miał ściągniętą twarz i puste oczy narkomana. Potem pokazało się następne zdjęcie. Starszy mężczyzna w towarzystwie Remy'ego stał przy dziobie łódki. - William - wyjaśniła Madeline, podciągnęła kolana do piersi i otoczyła je ramionami. Luke rzadko zadawał jej pytania na temat życia z Williamem, ale ta sprawa wciąż była dla niego niezbyt jasna. - To on pomógł mi wyciągnąć Remy'ego z Tajlandii, przywieźć do szpitala Singapurze. Prawie nas nie znał, ale zatrzymał się, zobaczył, co się dzieje, i pomógł.

Pojawiło się następne zdjęcie. William i Madeline w wieczorowym stroju. Wyglądała bardzo młodo, po Williamie natomiast doskonale było widać jego wiek.

- Dlaczego? - Zapytał Luke. Było to pytanie, które zadawał jej już wielokrotnie i nigdy nie potrafiła na nie odpowiedzieć tak, żeby był zadowolony.

- Bo troszczył się o mnie - odpowiedziała w końcu. - Bo czasami przeszłość jest taka mroczna, ale czasami też po przejściu przez mrok pojawia się coś dobrego i nigdy tego nie zapominasz. Moim koszmarem był Remy, a William był czymś dobrym. Był tym okrucieństwem dobra.

Luke przymknął oczy i przesunął dłonią po włosach.

- Boże, Maddy - rzekł urywającym się głosem.

- Wiem, nie rozumiesz, dlaczego za niego wyszłam. - Nie obchodziło jej, co ogół sądził o jej małżeństwie z Williamem, ale bardzo jej zależało na opinii Luke'a. - Ale nie wyszłam za niego dla pieniędzy ani z wdzięczności, tylko dlatego, że on widział mnie taką, jaka byłam. Głodna, zdesperowaną, ale i tak mnie kochał. Nikt mnie wcześniej nie kochał. Bardzo do tego tęskniłam. - Oparła podbródek na kolanach, pragnąc żeby Luke na nią spojrział. W końcu podniósł głowę. - Więc przyjąłem to. I nie żałuję - dodała, gdy on dalej milczał. - Zawsze będę szanować Williama i dobrze wspominać lata, które z nim spędziłam. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Rozumiem - mruknął i przygarnął ją do siebie, ogrzewając swoim ciepłem. - Rozumiem, tylko żałuję, że nie było kogoś, kto chroniłby cię bardziej, kto bardziej by się o ciebie troszczył, gdy byłaś młodsza. Może gdyby tak było, nie musiałabyś dokonywać takich trudnych wyborów.

- Proszę, Luke, nie uważaj mnie za ofiarę, bo się rozczarujesz. Musisz zrozumieć, że ślub z Williamem był moja niezależną decyzją. Nie jestem ofiarą i nigdy nią nie byłam. Nie potrafię grać takiej roli nawet dla ciebie.

- Nie proszę cię o to.

Chciała mu wierzyć. Bardzo chciała mu wierzyć, że on widzi ją taką, jaka jest, i w pełni ją akceptuje.

- Luke, ja nigdy go nie kochałam. - W każdym razie nie tak, jak mogłaby kochać Luke'a, gdyby sobie na to pozwoliła. - Powiedziałam ci to kiedyś, ale zareagowałeś bar-

dzo źle. Wciąż ci się to nie podoba. Nie mogę tego zmienić, jednak zawsze szanowałam Williama, rozumiesz?

Luke przymknął oczy, jakby nie chciał dostrzegać niektórych cech jej osobowości.

- Rozumiem, co to jest szacunek - mruknął.

- Wiem.

- I staram się jak mogę zrozumieć ciebie, ale to nie jest dla mnie łatwe, Maddy.

Czasem rozdierasz mi serce.

- O tym również wiem.

Minął kolejny tydzień. Luke i Po zbudowali biurko, które pasowałoby do gabinetu szefa wielkiej korporacji. Zadaniem Po było teraz wyszlifować je papierem ściernym. Większość wieczorów spędzał u Luke'a, z zapalem szlifując drewno, aż stało się gładkie jak wypolerowany marmur.

- Zastanów się teraz, czym chcesz je pomalować - mówił Luke w chwili, gdy Madeline stanęła w drzwiach z kubkiem kawy w ręku. Przyszła tu prosto z pracy. Wpadła tylko na chwilę, bo czekało ją jeszcze spotkanie w sprawach fundacji dobroczynnej.

- A czy może zostać w tym kolorze? - zapytał Po.

- Pewnie, ale w takim razie trzeba by je czymś zaimpregnować. To nie musi być lakier, można użyć oleju albo wosku. Chyba wiem, kto mógłby nam poradzić.

- Yun - domyślił się Po. - Pójdę do niej jutro.

- Drewno może od tego trochę ściemnieć - zauważyła Madeline. - Kolor się pogłębi.

- To dobrze. - Po odłożył papier i zaczął przecierać blat kawałkiem czarnego jedwabiu. - Luke - powiedział z wahaniem - powiedziałaś, że mogę zrobić wszystko, co zechcę.

Luke przerwał zwijanie kabla i skupił uwagę na chłopcu.

- Czy sądzisz, że sensei miałby coś przeciwko temu, gdybym nie został mistrzem sztuk walki?

- Zdawało mi się, że lubisz te treningi?

- Lubię - potwierdził Po szczerze. - Nadal chcę ćwiczyć codziennie i co wieczór, ale gdy dorosnę, chciałbym być kimś innym.

- A kim? - zaciekawił się Luke.

- Prawnikiem.

Trzeba przyznać Luke'owi, że zachował się wspaniale. Mógłby przecież wygłosić kazanie o potrzebie wykształcenia, a przecież Po nawet nie chodził do szkoły.

- Sądzę, że Jake nie miałby nic przeciwko temu.

- Prawnikiem zajmującym się prawami człowieka - dodał Po.

Luke uśmiechnął się lekko.

- Jake'owi na pewno się to spodoba.

Telefon, który zwykle stał cicho na stoliku nocnym, zadzwonił. Luke zastygł. Maddy patrzyła na niego z wyczekiwaniem, a gdy się nie poruszył, poczuła dreszcz pełzający po plecach.

Ostrożne spojrzenie Luke'a zatrzymało się na jej twarzy.

- Telefon - powiedziała, wiedząc, co usłyszy za chwilę.

W ciągu kilku godzin cały jej nowostworzony świat miał znów lec w gruzach.

Luke wyjedzie.

Nie, pomyślał Luke, gdy usłyszał pierwszy sygnał, nie teraz. Tamto życie nie miało nic wspólnego z życiem, którym cieszył się teraz.

A jednak miało.

Ponieważ był, kim był, nie potrzebował regularnej pracy. Poza tym przywykł do adrenaliny i potrzebował od czasu do czasu poważnych wyzwań. Pozostawała tylko obawa, jak ten telefon wpłynie na Madeline.

- Mam odebrać? - zapytała.

- Nie. - Westchnął i sięgnął po telefon, podszedł do okna, spoglądając na dobrze już znaną ulicę, wysłuchał wszystkich szczegółów. Gra się rozpoczęła.

Gdy wreszcie się odwrócił, Maddy i Po patrzyli na niego jednakowym wzrokiem.

- To z pracy - wyjaśnił niepotrzebnie. - Znaleźli okręt podwodny z czasów drugiej wojny światowej na głębini na zachód od archipelagu Guam. Jest nienaruszony i uzbrojony. Potrzebują nurków. - Spojrzał na Madeline. - Takich jak ja.

Przygryzła wargi i odwróciła wzrok.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za trzy godziny mam samolot na Guam.

- Nie jedź - poprosił Po, zaciskając pięści. - Dlaczego musisz jechać? Tym razem nie musisz nikogo ratować, wszyscy dawno nie żyją.

- Po - odezwała się Maddy cicho i lekko potrząsnęła głową. - Przestań.

Oczy chłopca napełniły się łzami. Obrócił się na pięcie i wybiegł z mieszkania. Luke miał nadzieję, że wrócił do Jake'a.

Popatrzył na Madeline. Właśnie dlatego ktoś taki jak on nie powinien nawiązywać bliskiej więzi. Lepiej było trzymać się z dala od Maddy i Po.

- Czy ty też chcesz mi powiedzieć, że trzeba być wariatem żeby zajmować się tym, czym się zajmuję?

Uśmiechnęła się lekko, ale smutek nie zniknął z jej oczu.

- Nie. Wiem, kim jesteś. Urodziłeś się wojownikiem i nie możesz zlekceważyć wezwania do broni. Honor tego wymaga, a tygrys tego pragnie. Zresztą uprzedziłeś mnie, czego mogę się spodziewać. Nie mam aż tak kiepskiej pamięci. - Odwróciła się, niezdolna wytrzymać jego wzroku. - Czy wiesz, jak długo cię nie będzie?

- Nie. Tydzień, dwa, może dłużej. To zależy, ile torped jest na pokładzie. - Zauważył, że wzdrygnęła się i zacisnął usta. Sięgnął po torbę na laptopa i przeszukał kieszenie.

- Obiecałem, że zostawię ci na wszelki wypadek listę nazwisk i kontaktowych numerów telefonów. - Wyciągnął kawałek papieru, sięgnął po długopis i postawił gwiazdkę przy jednym z nazwisk.

Maddy popatrzyła na karteczkę i jej usta zadrżały.

- Dziękuję.

- Zatrzymam się na pokładzie amerykańskiej fregaty, może uda mi się przesłać stamtąd jakąś wiadomość. Między jednym nurkowaniem a drugim będę miał mnóstwo czasu.

- Dziękuję jeszcze raz. - Zaczepnęła powietrza, wyprostowała się i spojrzała na niego, uśmiechając się szeroko.

- Maddy, muszę zachować jasny umysł - mruknął z desperacją.

- Wiem. - Ostrożnie odstawiła kawę na stół i oparła się o futrynę drzwi. - Jedź - dodała cicho. - Uważaj na siebie, nie myśl o mnie, a ja nie będę myśleć o tobie.

Pocałował ją i szepnął:

- Wrócę.

Madeline przymknęła oczy.

- Nie możesz być tego pewien.

- Pesymistka.

- Nie. Realistka.

- Wierz we mnie, Maddy. Proszę cię.

- Wierzę. - Otworzyła oczy, wyprostowała się i poszła do drzwi.

Tylko się nie oglądaj, nakazywała sobie w duchu. Wiedziała, że jeśli spojrzy na niego jeszcze raz, to zacznie go błagać, żeby został.

Znalazła Jake'a w gabinecie. Po nie było z nim.

- Widziałeś Po?

- Wpadł na chwilę i znowu wyszedł. Myślałem, że czegoś zapomniał. - Jake popatrzył na nią uważnie. - Kłopoty?

- Luke dostał wezwanie - mruknęła.

- Ach. - We wzroku Jake'a błysnęło współczucie. - Chciałabyś nauczyć się karate?

- Czy to rozładowuje stres, agresję i jest wyczerpujące?

- Właśnie tak.

- Pomyślę o tym. Chyba mam problem - przyznała.

- Nie musisz mi się zwierzać.

- Chyba zakochałam się w twoim bracie, chociaż jest tępym, uzależnionym od adrenaliny durniem.

- Powiedz, że nie będziesz mi się zwierzać - mruknął Jake z desperacją. - Nie zasłużyłem na to, naprawdę.

- Po jest bardzo zmartwiony.

- Uhm. - Jake podniósł się z krzesła i poszedł na zaplecze, Madeline poszła za nim.

- Boi się, że Luke się zabije.

- Uhm. - Jake dotarł do kuchni i sięgnął do szafki nad zlewem.

Na stoliku pojawiła się szkocka i dwie różne szklanki. Najwidoczniej Jake nie troszczył się o eleganckie naczynia, zupełnie jak Luke. Napełnił szczerze szklanki.

- Wypij to - powiedział, wtykając jej w rękę pełną po brzegi szklanę.

Madeline napiła się. Whisky paliła jej gardło.

- A jeśli on naprawdę zginie, to co? Jak my będziemy się czuli? - Znów się napiła. Dobrze wiedziała, jak by się wtedy czuła. Jeśli chodziło o śmierć bliskich, miała już mnóstwo doświadczenia. Matka, ojciec, brat, William. Przyciągała do siebie śmierć jak magnes.

- Może będziemy czuli wdzięczność za to, że go znaleźliśmy i kochaliśmy?

- Wiedziałam, że mogę liczyć na twoje współczucie.

- Naprawdę ci współczuję, Madeline, ale jestem dumny z mojego brata, z tego, kim jest i co robi. Chcesz, żebym ci opowiedział, za co dostał ostatni Krzyż Wiktorii? Pięcioletnia dziewczynka w Kambodży i jej starszy brat weszli na pole minowe, szukając odłamków metalu. Luke i jego zespół rozminowywali sąsiednie pole, gdy usłyszeli wybuch. Brat tej dziewczynki zginął na miejscu, a ona siedziała i czekała, żeby ktoś taki jak Luke przyszedł ją uratować.

Maddy znieruchomiała. Przed oczami miała scenę opisaną przez Jake'a.

- Wolałabyś, żeby odmówił? Wolałabyś, żeby powiedział, że nie może tam pójść i uratować jej, bo w domu czekają na niego ludzie, których kocha i którzy kochają jego?

- Nie - odrzekła, przelękając kolejny łyk szkockiej. - Nie. Cieszę się, że poszedł tam i uratował to dziecko.

- Ta praca Luke'a. Nie chodzi tylko o adrenalinę - ciągnął Jake. - To jego zawód, powołanie, więc jeśli nie potrafisz uszanować jego decyzji i nie potrafisz go kochać, mimo że wciąż się naraża, lepiej od razu wynieś się z jego życia.

To było brutalne.

- Zamierzasz zranić mojego brata, Maddy? - zapytał Jake. - Czy też kochasz go na tyle, żeby zostać przy nim?

Zacisnęła pięści i poszukała w sercu odwagi niezbędnej, by być kobietą wojownika.

- Co zwykle robią ludzie, którzy mogą tylko bezradnie czekać na wiadomości?

Wzrok Jaka powędrował w stronę niemal pustej szklanki.

- Oprócz tego, że piją. - Zaśmiała się bez humoru.

Piętnaście minut później trzy postacie stanęły na macie w dojo i zaczęły wykonywać powolne ruchy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Luke Bennett nie należał do ludzi, którzy pozwalają sobie na utratę koncentracji w pracy. Amerykański okręt patrolowy, on w roli eksperta i marynarka Stanów Zjednoczonych, która wyznaczała reguły gry - to był jego świat. Ekipy nurków pracowały na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, dopóki nie rozbroili ostatniej torpedy. Przeprowadzał demonstrację na pokładzie, ucząc nurków, jak rozkładać torpedy na części, nie wywołując wielkich fal. Wykonywał swoją robotę i robił to dobrze.

Ale przez cały czas czuł coś nieokreślonego... Ostatnio takie emocje dręczyły go dawno temu po śmierci matki. To była pustka, ale też coraz większa niepewność, co zastanie po powrocie.

Czy Po, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego Luke robił to, co robił, wciąż będzie tak ciężko pracować przy biurku? Czy Yun ugotuje na jego powrót tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla całej armii? Czy ona również przestanie darzyć go sympatią? Ciekaw był, czy Madeline pracuje do późna, żeby nadrobić zaległości w pracy. Budowa apartamentowca oraz tysiące innych zadań i decyzji, które musiała podejmować, zarządzając imperium biznesowym. Nie miał pojęcia, czy ich związek jest na tyle silny, by przetrwać tę rozłąkę. A może po jego powrocie Madeline powie, że ma już dość.

Próbował czytać książki. Próbował ćwiczyć w sali gimnastycznej i zabijać czas w towarzystwie nurków. Łowił ryby na wędkę, rzucał piłeczkami golfowymi w ścianę sterówki, opowiadał głupie dowcipy i nieprawdopodobne historie o dziesięciometrowych białych rekinach i syrenach. Robił wszystkie rzeczy, które zwykle bardzo mu pomagały.

Próbował do niej zadzwonić. Oficer komunikacyjny wybrał numer i powiedział, że ma trzy minuty. Podniosła słuchawkę przy trzecim sygnale.

- Maddy.

- Gdzie jesteś?

- Wciąż w pracy. Na statku.

- Wszystko w porządku? - zapytała ostrożnie.

- Tak. Wszystko w porządku. Zwykła rutyna. Po prostu miałem okazję zadzwonić do ciebie... Co słyszeć?

- Dobrze. W porządku - powiedziała i zapadło milczenie.

Luke nie miał pojęcia, jak je wypełnić.

- Po zrobił coś dla ciebie z kawałków drewna - powiedziała w końcu. - Nie chcę mu zepsuć niespodzianki, ale to jest piękne. Myślę, że to mają być przeprosiny za to, co mówił o twojej pracy.

- Nie musi przeproszać - mruknął Luke.

- Owszem, musi.

Znów zapadło milczenie. Trzy minuty mijały nieubłagalnie.

- Jak się miewa Jake? - zapytał w końcu.

- Wszystko dobrze.

- A ty?

- U mnie też. Dużo pracuję, jestem zajęta, jakoś sobie radzę.

- To dobrze. - Jakaś część jego duszy wołałaby, żeby głos Maddy nie brzmiał tak spokojnie i żeby jego nieobecność pozostawiła w jej życiu wyraźną wyrwę. - Mam tu jeszcze jakiś tydzień roboty. Zadzwonię, kiedy skończę.

- Luke, ja... - Połączenie urwało się nagle.

- Trzy minuty - poinformował go oficer.

Niestety uduszenie oficera marynarki podpadało pod sąd wojenny. Luke wymamrotał podziękowania i wyszedł z dyżurki równie wzburzony, jak do niej wszedł. Za niecałą godzinę znów miał zejść pod wodę. Wiedział, że wtedy odzyska koncentrację i jasność umysłu. Tymczasem jednak miał za dużo czasu na obsesyjne rozmyślanie o wszystkim, co chciał powiedzieć Madeline, a czego jej nie powiedział.

Sześć dni później Luke wylądował w Guam i zarezerwował lot do Singapuru. Miał czterdzieści osiem godzin do odlotu, które musiał jakoś zagospodarować. Postanowił wybrać się na ryby.

Znów zadzwonił do Maddy. Telefon odebrała Yun.

- Dobry wieczór Yun, tu Luke.

- Witaj, tygrysie.

- Jest Maddy?

- Nie. Poszła na koncert symfoniczny z nowym przyjacielem. Łagodny królik jest dobrym celem dla węża, gdy nie ma w pobliżu tygrysa. Łagodny królik jest sprytny i przebiegły. Łagodny królik już zna tai chi.

- Szczęściarz z tego królika. - Luke czasami nie był do końca pewien, w jakim świecie żyje Yun, z pewnością nie w tym, a jednak przekazała mu bardzo istotną informację.

Madeline wyszła z jakimś przyjacielem. Zapewne miała wielu przyjaciół, których nie znał. Nowych i starych. Nigdy nie należał do zazdrośników, ale teraz zaczęło go ogarniać podejrzenie, że Madeline potrafi w nim wzbudzić zazdrość, chociaż wcale mu się to nie podobało. Miał ochotę wyciągnąć z Yun więcej szczegółów na temat tego królika, ale powstrzymał się.

- Czy możesz powiedzieć Madeline, że jestem już na lądzie w Guam? Robota skończona i wrócę za kilka dni.

- Mogę - powiedziała Yun. - Może powiem. Dlaczego za kilka dni? Jesteś ranny?

- Nie, ale nie mogę latać zbyt szybko po nurkowaniu.

- Dobrze - powiedziała Yun. - Odpocznij, rozluźnij się i odzyskaj równowagę. Możesz też poszukać jakiś podarunków dla zmęczonej gospodyni domowej i zdenerwowanego sensei z dojo.

- Zaraz, co próbujesz mi powiedzieć?

- Ludzie tracą równowagę, gdy wyjeżdżasz. Ktoś musi im pomóc ją odzyskać. I ktoś im musi pomóc przejść przez wybuch euforii, kiedy wrócisz. Ty zawiniłeś, ty musisz naprawić.

- Jak?

- Wyglądam na wróżkę? Odpocznij dobrze, tygrysie - powiedziała Yun i odłożyła słuchawkę.

Dwa dni później Luke wysiadł z odrzutowca na płytę lotniska w Singapurze i w dalszym ciągu nie wiedział, jak ma przywrócić równowagę w stosunkach z Maddy, Po, Yun i Jake'em. Może powinien przyjmować mniej zleceń? Przecież nie był jedynym specjalistą na świecie.

Może od czasu do czasu mógłby sobie na to pozwolić, ale niezbyt często.

Zebrał rzeczy, przeszedł przez kontrolę celną. Ze względu na sprzęt, który zawsze woził, podlegał specjalnym rygorom. W końcu jednak udało mu się przebrnąć przez biurokrację i dostał potrzebną pieczętę. Nim wyszedł z bramki do hali przylotów, większość pasażerów zdążyła się już rozproszyć. W hali jednak wciąż czekało kilka osób, a wśród nich Madeline.

Posłała mu niepewny uśmiech, bawiąc się paskiem błyszczącej torebki. Była wyraźnie zdenerwowana, widział to w jej oczach.

- Pomyślałam, że może zechcesz, żeby ktoś cię podrzucił - powiedziała, gdy do niej podszedł.

Rzucił torbę na ziemię, wziął Maddy w ramiona i poczuł spokój, jakiego nie czuł jeszcze nigdy w życiu. Nie była to euforia, jaka pojawiała się w chwilach, gdy zwyciężał śmierć. Było to coś znacznie głębszego. Musnął ustami jej skroń, nie odważając się pocałować jej w usta. Nie tutaj.

- Nie musiałaś po mnie przyjeżdżać - mruknął.

- Wiesz, bardzo się mylisz. Za mniej więcej osiem godzin muszę wsiąść w samolot do Szanghaju. Cztery z tych godzin muszę spędzić w biurze. Chciałam więc spędzić jak najwięcej z tych pozostałych czterech w twoim towarzystwie.

- Osiem godzin, mówisz?

- Cztery należą do ciebie - powtórzyła i wysunęła się z jego objęć. - Jak tam było na Guam?

Podniósł worek i ruszył do wyjścia.

- Mikronezja jest urocza. Świetne nurkowanie, nawet głębinowe. Przypomniałem sobie, dlaczego w ogóle zdecydowałem się wstąpić do marynarki.

- Musisz sobie o tym przypominać? - zdziwiła się.

- Czasami tak. - Owszem, bywało, że potrzebował czegoś, co wzmocniłoby jego motywację, czekanie na przyływ adrenaliny nie zawsze było skuteczne. Gdzieś w ciągu tych lat podniecenie płynące z gry o wysoka stawkę znikło i w jego miejsce pojawiła się zimna, twarda determinacja, by zrobić swoje i wrócić do domu. - Muszę wziąć pieniądze z bankomatu.

- Madeline - odezwał się starczy głos za ich plecami.

Obydwoje odwrócili się. W ich stronę szła przygarbiona starsza kobieta. Dłoń, którą wyciągnęła w stronę Madeline, obwieszona była biżuterią i doskonale wypielegnowana. Pewność siebie, z jaką nosiła swój bogaty strój, wskazywała, że jej zdaniem kobiety nigdy nie są za stare na obnoszenie się z biżuterią.

- Sarah - zawołała Madeline i ze szczerym uśmiechem ujęła wyciągniętą dłoń. - Wróciłaś do kraju.

- Przed chwilą - odrzekła staruszka, cofając się o krok. - Doskonale wyglądasz. Czy to dzięki temu panu?

- Sarah, to jest Luke Bennett. Właśnie wrócił z rozbrajania torped na Guam. Luke, pozwól, że przedstawię cię lady Sarze Sauthcott, członkini zarządu kilku fundacji dobroczynnych, z którymi współpracuję.

- Mów do mnie Sarah - nakazała starsza dama. - Guam, tak? Pracowałam tam jako pielęgniarka wiele lat temu.

- W czasie drugiej wojny Sarah była pielęgniarką w Singapurze - wyjaśniła Madeline.

- I przez wiele lat próbowałam zapomnieć o tym doświadczeniu - uzupełniła staruszka. - To były trudne wybory. Okropne, okropne wybory. - W jej oczach zamigotał blask wspomnień.

Po chwili odsunęła je od siebie i skupiła się na Luke'u.

- Wyglądasz na człowieka, który wie coś o trudnych decyzjach.

Nie odpowiedział. Owszem, wiedział, czym jest śmierć i trudne decyzje, ale to nie mogło się równać z decyzjami podejmowanymi w Singapurze w czasie drugiej wojny. Jego szacunek dla starszej damy niepomniernie wzrósł.

- Czy trzeba cię gdzieś podwieźć? - zapytała Madeline.

- Nie, skarbie. Mam tu gdzieś kierowcę. Poszedł po samochód. Muszę dojść do wyjścia.

- Pójdziemy razem - powiedziała Madeline. Luke zamierzał właśnie poszukać bankomatu. Spotkamy się tu za pięć minut? - zwróciła się do niego.

Nie wiedział, czy Madeline chce porozmawiać z Sarah sam na sam, czy też dać jemu nieco prywatności. W każdym razie skłonił się uprzejmie przed starszą damą.

- Powiedz Madeline, żeby przyprowadziła cię do mnie na popołudniową herbatę któregoś dnia - powiedziała Sarah. - Robie dobrą herbatę mrożoną.

- Owszem - mruknęła Madeline. - Z dodatkiem siedmiu rodzajów alkoholu, a trzy z nich to dżin.

Bankomat stał w pobliżu szeregu stoisk oferujących samochody do wynajęcia, tuż obok stanowiska informacji. Luke sprawdził swoje konto. Pieniądze za ostatnie zlecenie już wpłynęły. Kwota była pokaźna. Mógł sobie pozwolić na kupienie samochodu, żeby poruszać się po Singapurze, nie naruszając inwestycji. Nie samochodu, tylko pojazdu, raczej dwukołowego. Takie w tym mieście były znacznie praktyczniejsze. Może udałoby mu się przekonać Maddy, żeby od czasu do czasu wybrała się z nim na przejażdżkę.

Stojąc przy bankomacie, usłyszał rozmowę za swoimi plecami. Nie widział twarzy rozmawiających. Nie musiał. Znał ten typ. Bogaci, rozpuszczeni i podli.

- Widziałeś tą dziwkę Delacourte?

- Jasne, trudno ją przeoczyć. Ciekawe, kim był ten facet. Zdawało mi się, że przyjechała po niego, ale potem odeszła z La Sauthcott.

- O co się załóżysz, że wróci po niego?

- Nie będę się zakładała. Mam nadzieję, że on lubi takie mocno używane i sfatygowane. Słyszałam, że stary Delacourte znalazł ją na rogu ulicy.

- Podobno. Mój ojciec przysięga, że to prawda. Słyszałam też, że ostatnio była warta ponad dwieście pięćdziesiąt milionów. To chyba skutecznie niweczy wszelkie inne braki, nieprawdaż?

Obydwie kobiety roześmiały się. Luke poczuł pustkę w głowie. Tylko lata wojskowej dyscypliny powstrzymały jego rękę.

- Skończyłeś już?

To była Madeline. Opanowana i niemożliwie zdystansowana.

- Ile z tego słyszałaś?

- Wystarczająco dużo. - Rzuciła mu spojrzenie, którego nie potrafił przeniknąć. -

Wszystko w porządku. Już do tego przywykłam. Nie pozwolę, by mi to zepsuło dzień.

- To świetnie. A masz coś przeciwko, żebym ja zepsuł im dzień? - Nie czekając na odpowiedź, poszedł za róg i stanął naprzeciwko dwóch kobiet, patrząc wprost na ich twarze. Leniwa złośliwość przebrana w pozory urody. Madeline była warta więcej niż tysiąc takich.

Twarz jednej z nich poczerwieniała, a druga pobladła. Madeline stanęła obok niego.

- Teraz już możemy iść - mruknęła.

W milczeniu poszli na parking. Luke wciąż kipiał z wściekłości. Ucieszył się jednak, widząc, że przyjechała mercedesem. Zapewne miała w garażu również lamborghini, bugatti veyrona i aston martina.

- Masz ochotę poprowadzić? - zapytała nieśmiało.

- Nie - odrzekł krótko, wrzucił swój worek do bagażnika i usiadł w fotelu pasażera, próbując wypchnąć usłyszaną rozmowę z umysłu.

Wyciągnął z portfela pięćdziesiąt dolarów i wsunął jej do torebki.

- Płacę za siebie - powiedział i w tej samej chwili zrozumiał, że popełnił wielki błąd, ale było już za późno.

- Nie zwracaj sobie głowy tym, co usłyszałeś - odezwała się w końcu. - To prawda, firma jest warta setki milionów, ale ja mam tylko sześć procent udziałów i nawet te pieniądze też zostają w firmie. Mam roczną pensję w wysokości pięciuset tysięcy. To niewiele w porównaniu do tego, co zarabiają niektórzy dyrektorzy. Część tych pieniędzy idzie na utrzymanie domu. Mam Yun i ogrodnika na godziny, ale pod koniec każdego roku finansowego zostaje mi jeszcze dużo i te pieniądze idą prosto do organizacji dobroczynnych.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Wiem - westchnęła z rezygnacją. - Ale chciałam, żebyś wiedział, że nie jestem tak bogata, jak one twierdziły i że nie chodzi mi tylko o ciuchy z odpowiednimi metkami

i markowe torebki. Nie oszczędzam na własnej wygodzie, ale nie jestem też rozrzutna. Jest granica pomiędzy tym, co należy do mnie, a tym, co należy do firmy. Trudno wytłumaczyć, na czym to polega.

- Nie musisz się tłumaczyć - powtórzył napiętym głosem.

Milczenie trwało, dopóki nie dotarli do mieszkania Luke'a. Madeline przystanęła w miejscu, gdzie był zakaz parkowania, ale nie zgasiła silnika.

- Skoro to nie komentarz o pieniądzach tak cię rozzłościł, to pewnie to drugie. -

Mówiąc, patrzyła prosto przed siebie i mocno ścisnęła kierownicę.

- Chcesz mnie zapytać o ten róg ulicy.

- Nie.

- Bo nie wierzysz, że byłabym do tego zdolna? - Dopiero teraz na niego spojrzała. -
A może się boisz?

- A może po prostu nie podobał mi się sposób, w jaki te baby o tobie mówiły. Wzięłaś to pod uwagę?

- Nie, ale spróbuję - odrzekła ponuro. - Od początku mówiłam ci, jakie zdanie ma o mnie tutejsza elita. Ich opinie się nie zmieniają, bez względu na to, co zrobię. Więc robię, co chcę i staram się ignorować gadki za plecami. Proponuję ci, żebyś robił to samo, ale widzę, że dla ciebie to chyba zbyt trudne.

- Na litość boską, Maddy. To co mówiły, zraniło cię. Nie wierzę, że jest inaczej.

- Już do tego przywykłam a ty nie. Jake, Po i nawet Yun chronili cię przed opiniami innych na mój temat. Próbowалаm ci to powiedzieć, ostrzegałam cię, tylko nie chciałeś słuchać, a teraz wreszcie przejrzałeś na oczy. Tyle tylko że nie podoba ci się to, co widzisz. Dziwka Delacourte, która ma więcej wrogów niż przyjaciół. Przypominasz sobie tę windę i zastanawiasz się, jaka kobieta może robić coś takiego z mężczyzną, którego prawie nie zna.

- Nie.

- Zapytaj mnie, czy byłam kiedyś dziwką uliczną w Dżakarcie.

- Nie - odrzekł z jeszcze większym napięciem w głosie.

- Przecież chcesz to wiedzieć. Uważasz, że to możliwe. Widzę to w twoich oczach.

- Nic mnie nie obchodzi, co twoim zdaniem widzisz w moich oczach, Madeline. Mylisz się. Nie zamierzam cię pytać, co robiłaś na ulicach Dżakarty. Nie będę snuł domysłów na podstawie przypadkowo zasłyszanego komentarza. Powiedz, co chcesz powiedzieć i może wtedy uda nam się ruszyć dalej.

Patrzyła na niego przejmującym wzrokiem, wciąż zaciskając dłonie na kierownicy. Wyglądała, jakby chciała stąd uciec.

- Nigdy nie sprzedawałam się na żadnym rogu ulicy - powiedziała z ogniem w głosie - ale Remy to robił. Tam go właśnie znalazłam. Takie życie prowadził i przez niego ja je również poznałam. Czy to ci pomoże zrozumieć mnie lepiej, Luke? Czy też jest to jeszcze jeden fragment, który nie pasuje do twojego schludnego, opartego na honorze świata?

- Może byś się tego dowiedziała, gdybyś przestała wkładać słowa w moje usta - powiedział ponuro i otworzył drzwi. - Może gdybyś zaufała mi tak, jak chcesz, żebym ja zaufał tobie, to nie niszczyłabyś z takim pośpiechem tego, co udało się nam wspólnie zbudować. A może po prostu masz już dość i chcesz zerwać? Może wolisz się ukrywać za pieniędzmi Delacourte'a i swoją zszarganą reputacją, niż zaryzykować i ulec miłości.

- Wynoś się - wymamrotała, otwierając bagażnik. - Wynoś się z mojego samochodu.

Wysiadł, zabrał swój worek i zatrzasnął bagażnik, a potem rzucił worek na chodnik i znów podszedł do drzwiczek.

- Wiesz co, po tym, przez co przeszłaś, po tym, czego udało ci się w życiu dokonać... No nic, sądziłem, że masz więcej charakteru.

Zatrzasnął drzwiczki.

Madeline odjechała, zabierając ze sobą wszystkie nadzieje Luke'a.

Z jego ust wyrwało się, paskudne przekleństwo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

No cóż. Może przesadziła? Może Luke nie wziął sobie za bardzo do serca jej uwag? Ale co miał na myśli, mówiąc, że brak jej odwagi, by go kochać? Jak mógł oskarżać ją, że niszczy ich związek ze strachu przed miłością?

- Idź do diabła - mruknęła, skręciła na ciemny parking pod firmą i poszła do windy.

Gdy dotarła do swojego gabinetu, złość jeszcze nie opadła. Przygotowanie do podróży zajęło jej sporo czasu. Dłużyło się niemożliwie głównie przez to, że co pięć minut przerywała to, co właśnie robiła i znów zaczynała się zastanawiać nad tym, co zaszło.

Jej pieniądze i pozycja były dla Luke'a trudne do przełknięcia. Nie chodziło tylko o to, że chciał ją chronić przed złymi językami. Mimo wszystko miała już sporo czasu, by się nauczyć, jak nie okazywać słabości i ignorować złośliwe plotki. Luke zetknął się z tym po raz pierwszy.

A jednak nie chciał jej zadawać żadnych pytań na temat Dżakarty. Udawał, że go to nie interesuje. Akurat. A jeśli rzeczywiście uznał, że Madeline nie jest kobietą godną szacunku?

Znów zaklęła. Czy mogłaby przełożyć podróż do Szanghaju? Ta podróż była bardzo ważna dla jej ostatniego projektu budowlanego. A może udałoby się wyjaśnić sytuację z Luke'em jeszcze przed wyjazdem?

Musiała się przekonać.

Pod wpływem impulsu sięgnęła po telefon. W słuchawce odezwała się poczta głosowa. Nie знаła drugiego numeru telefonu służbowego, tego, którego nigdy nie wyłączał. Musiała go zdobyć.

Znów wsiadła do windy, zjechała na parking i ruszyła w stronę jego mieszkania, modląc się w duchu, żeby tam był.

Nie było go.

Wziął prysznic, ogolił się, przebrał w czyste ubranie i pojechał do Jake'a. Wciąż nie mógł się pogodzić z tym, że Madeline natychmiast założyła, że on uwierzy w to, co mówiły te kobiety.

Zaczynał już godzić się z myślą o jej pieniądzach, o Williamie i wszystkim innym, co się z tym wiązało, ale jak mogła uwierzyć, że uzna ją za dziwkę? Jakby nikt oprócz ukochanego Williama nie potrafił jej widzieć taką, jaką była naprawdę.

Dojo Jake'a było puste. Znalazł ich obydwu w kuchni. Po uśmiechnął się szeroko na jego widok. Jake przyjrzał mu się uważnie, po czym zapytał ostrożnie.

- Madeline wyjechała po ciebie na lotnisko?

- Tak.

- Więc dlaczego jesteś tutaj?

- Bo cię kocham, bracie. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Żadnych, które mógłbym zadać - mruknął Jake.

- Widzisz, ja jestem rozsądnym człowiekiem - powiedział Luke, podsuwając sobie krzesło. - Nie jestem zaślepiony, gdy chodzi o Madeline. Wiem, kim jest i jaki bagaż ze sobą niesie. A już na pewno wiem, kim nie jest.

Jake spokojnie jadł dalej. Po przyglądał mu się uważnie.

- No dobrze. Nazwałem ją tchórzem. Może nie była to najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Ale ona też nie wykazała się mądrością, gdy sądziła, że uwierzyłem w to, co mówiły te baby. Wiem przecież, że nie jest dziwką.

- Ktoś nazwał Madeline dziwką? Kto?

- No widzisz - zauważył Luke. - Masz ochotę temu komuś przyłożyć. Ja też miałem. I co w tym złego? Przecież to normalna reakcja.

- Jasne, że tak - skinął głową Jake. - I co zrobiłeś?

- To były tylko dwie plotkujące wiedźmy. Popatrzyłem na nie i odszedłem.

- To rozsądne. Zachowałeś się w bardzo cywilizowany sposób.

- A co jeszcze mogłem zrobić?

- Przypuszczam, że Madeline mogłaby im utrudnić życie na wiele sposobów, gdyby chciała, ale ona nie chce. Ignoruje takie rzeczy i robi swoje. Wielu ludzi podziwia ją za to i za to, że nie czuje potrzeby, by się przed wszystkimi tłumaczyć.

Tłumaczyła się jednak przed Luke'em, i to na jego prośbę. Może dał jej jakieś powody do takiego zachowania? Może nie była pewna, jak on zinterpretuje to, co usłyszał? Potarł twarz dłońmi. Może sam sobie na to zasłużył?

- Mówiły, że William Delacourte znalazł ją na rogu ulicy w Dżakarcie - mruknął. -
A ona myślała, że ja w to uwierzyłem i zacznę ją przesłuchiwać.

Jake nie odezwał się ani słowem.

- No dobrze. Nie od razu zrozumiałem, dlaczego wyszła za Delacourte'a. Ale to już
nie ma znaczenia. Dlaczego do diabła ona nie potrafi uwierzyć, że widzę ją taką, jaka
jest?

- Przydałyby mi się wakacje - stwierdził Jake.

- Bo cię kocha i boi się, co o niej pomyślisz, gdy usłyszysz, co o niej gadają. Część
z tego jest prawdziwa, a część nie - powiedział Po. - Boi się, że zranisz ją, bo inni ranili
ją bardzo często, ale tym razem nie uda jej się pozbierać.

Obydwaj bracia wpatrzyli się w chłopca.

- Hm - powiedział Jake.

- On chce być prawnikiem zajmującym się prawami człowieka - zauważył Luke.

- Tak słyszałem. - Jake nie spuszczał oczu z brata. - Po ma dla ciebie prezent. Robił
go przez dwa tygodnie. - Przeniósł wzrok na chłopca. - Przyniesiesz go?

Po skinął głową i wybiegł. Jake znów skupił się na Luke'u.

Chłopiec po chwili wrócił, niosąc owiniętą w gazetę paczkę, trzydzieści centyme-
trów szeroką i pół metra długą. Podał mu ją i odsunął się.

- Yun pomogła mi to naoliwić i nawoskować.

Luke położył paczkę na stole i odwinął z gazety.

W środku znajdowała się drewniana gablotka z mosiężnymi zawiasami i prze-
szklonymi drzwiczkami.

- Sam to zrobiłeś? - zapytał Luke.

Po skinął głową.

- Dobra robota. - Przesunął ręką po pięknie oszlifowanych krawędziach. - Napraw-
dę piękna robota.

- Jake mówił, że masz medale za odwagę, więc Maddy powiedziała, że może
chciałbyś mieć gablotkę na te medale. Mógłbyś je powiesić na ścianie, żeby nam przy-
pominały, że inni ludzie też cię bardzo potrzebują.

- Dzięki, mały. - Luke poczuł dziwne ściskanie w gardle.

- A Yun powiedziała, że jeśli ją ładnie poprosisz po mandaryńsku, to przyjdzie do twojego mieszkania i pokaże ci, gdzie to powiesić, żeby było dobre feng shui i nawet nie weźmie pieniędzy za konsultację. Powiedziała, że potrzebujesz jakiegoś mocnego elementu, żeby zyskać równowagę, a znając tygrysy, to niczego takiego pewnie nie masz.

- Ja już uzyskałem równowagę - powiedział Luke cicho. - Wiem, że ty to dla mnie zrobiłeś. - Znów popatrzył na gablotę i przesunął dłońmi po nawoskowanym drewnie. - Tak właśnie chcesz wykończyć swoje biurko?

Po skinął głową.

- Musimy się zaraz wziąć do roboty.

Po znów skinął głową i nagle znalazł się w ramionach Luke'a. Luke poczuł dziwne poruszenie w sercu i nad ramieniem chłopca popatrzył na Jake'a.

- Pokłóciłem się z Maddy. Muszę ją znaleźć, zanim wyjedzie do Szanghaju. Muszę iść na zakupy.

- Czy te dwie rzeczy mają ze sobą jakiś związek? - zapytał Jake, ale Luke go nie usłyszał. W jego umyśle wszystkie elementy zaczęły układać się w całość. Powinien zacząć od deklaracji uczuć. Myśl o tym, że zamierza oddać komuś serce bezwarunkowo i na zawsze, była przerażająca.

- Muszę pójść do jubilera.

- Jakiś drobiazg? - zapytał Jake z nadzieją.

- Nie. Wielki ostentacyjny pierścionek, ale nie pierwszy z brzegu. Musi być idealny. A gdzie ja znajdę idealny pierścionek o... - zerknął na zegarek - o wpół do piątej w niedzielę po południu w Singapurze. - Nie miał pojęcia, jak się kupuje pierścionki. - Nie mam czasu. Lotnisko. Na lotnisku są sklepy jubilerskie. Dobra. Tylko bez paniki. Teraz potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi go kupić. Najlepiej kobietę.

- Dzięki ci, Boże - mruknął Jake.

- Yun. Nie. Nie Yun. Czy któryś z was zna może łagodną kobietę spod znaku Królika, która lubi operę i zna tai chi?

Jake zamrugnął. Po z kolei wpatrywał się w Luke'a szeroko otwartymi oczami.

- Tak właśnie się dzieje, gdy człowiek traci rozum - powiedział Jake do Po.

- Halli. Mogę zadzwonić do Halli. Ona będzie wiedziała, jakiego pierścionka zaręczynowego może sobie życzyć kobieta. Opiszę jej przez telefon, o co mi chodzi. Albo Tris.

Rozpromienił się. Tris mógł kupić diamenty prosto z kopalni, a co więcej jego żona Erin była łagodną, romantyczną kobietą, w dodatku jubilerem. Mógł zadzwonić do Erin i opisać jej pierścionki dostępne na lotnisku. Najlepiej brylant. Biały, osadzony w platynie, a dokoła niego morze szafirów, na wypadek gdyby Madeline rzeczywiście najbardziej lubiła właśnie te kamienie. Jeśli dzisiaj nie uda mu się znaleźć czegoś takiego, to mógłby zamówić taki pierścionek u Erin. W końcu nie musiał dawać Madeline pierścionka dzisiaj. Może słowa na razie wystarczą? A może się też okazać, że w ogóle nie będzie musiał kupować pierścionka. Rozpromienił się. Znalazł rozwiązanie problemu.

- Zmieniłem zdanie - oświadczył.

- No tak - mruknął Jake.

- Pierścionkiem zajmę się jutro.

Telefon w dojo zadzwonił. Jake podniósł słuchawkę z podejrzanym pośpiechem.

- Tak. Jest tutaj - mruknął. - A gdzie ty jesteś?

- Czy to Maddy? - zapytał Luke. - Daj mi ten telefon.

- Nie, masz swój. Nie, Maddy, nie mówiłem do ciebie. Nie ruszaj się z miejsca.

Tutaj są dzieci, ludzie próbują coś zjeść. Kiedyś panował tu spokój, a poza tym on już wychodził. - Pięść Luke'a trafiła w splot słoneczny Jake'a, ale ten nie wypuścił z ręki telefonu. Obydwaj uderzyli w ścianę. Jake uśmiechał się szeroko. Po tymczasem sprzątał miseczki ze stołu.

- Maddy jest w twoim mieszkaniu - powiedział Jake i dodał do słuchawki: - Tak, będzie tam za pięć minut.

Luke był już w drzwiach.

- A może nawet szybciej - dodał Jake i rozłączył się.

Znalazł ją na szczycie schodów między własnymi drzwiami a drzwiami sąsiada i od razu stanął tak, żeby zablokować jej drogę. Madeline wydawała się spokojna i niedostępna.

- Nic mnie nie obchodzi, co myślą te kobiety, ale obchodzi mnie, co ty myślisz, więc jeśli wciąż chcesz związku i chcesz sprawdzić, dokąd on może doprowadzić, to ja w to wchodzę. Wystarczy mi odwagi. Mam mnóstwo odwagi - powiedziała.

- Wiem. - Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

- I godność osobistą też mam, przeważnie. Tylko dzisiaj mnie opuściła - przyznała.

- Przepraszam, że tak ostro zareagowałam i odreagowałam na tobie moje kompleksy. I przepraszam, że nie okazałam ci zaufania.

- Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć - przyznał Luke niechętnie. - Tyle razy męczyłam cię pytaniami o Williama, że miałaś prawo założyć, że automatycznie uwierzę w najgorsze.

- Za każdym razem gdy pytałeś mnie o Williama, chciałeś o mnie dobrze myśleć, ale ja ci to uniemożliwiałam.

- Nie, Madeline. Za każdym razem widziałem cię lepiej i coraz bardziej się w tobie zakochywałem. - Wziął głęboki oddech i spojrzał na nią. - Teraz moja kolej, Maddy, żeby powiedzieć to, co mam do powiedzenia. Wiem, że wygadywałem wcześniej różne głupoty o nieangażowaniu się, ale nic z tego nie wyszło, bo sprawy zaszły za daleko i nie ma już odwrotu.

W tej właśnie chwili pierścionek bardzo by się przydał, ale ponieważ go nie miał, pozostawały mu tylko słowa.

- Kocham cię i chcę dzielić z toba życie. Życie, w którym będzie miejsce dla dzieci takich jak Po i dla naszych własnych. Jeśli chcesz, to możemy nazwać syna William, żeby uczcić twojego niezwykłego męża. Chcę życia, w którym będzie miejsce na firmę Delacourte, a także na moją pracę, na marudzenie Yun. I chcę, żebyś ty była przy mnie, nawet jeśli nie będzie cię fizycznie przez cały czas. Bo masz na stałe miejsce w moim sercu.

Podszedł do niej i przesunął palcem po jej brwiach. Oboje drżeli.

- Madeline Mercy Delacourte, wiem, że proszę cię o wiele, ale czy wyjdiesz za mnie?

- Tak - odpowiedziała urywanym głosem i pocałowała go w policzek. - Kocham cię takim, jakim jesteś. Tak, wyjdę za ciebie.

Dom, pomyślał, biorąc ją w ramiona. Po wszystkich latach niepokoju i włóczęgi po świecie w końcu znalazł dom.

- Ile mamy czasu, zanim musisz ruszyć na lotnisko?

- Wystarczy.

Zadzwoiła do niego dwa dni później z hotelu w Szanghaju. Interes doszedł do skutku. Była bardzo zmęczona. Zamierzała wsiąść w najbliższy samolot do Singapuru, ale miała jeszcze coś do załatwienia.

- Kiedy wracasz do domu? - zapytał Luke, ledwie podniósł słuchawkę.

- Cierpliwości, wojowniku. Spotkanie odbyło się dzisiaj rano. Mam już bilet na wieczorny lot, ale jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. - Przymknęła oczy i usiadła na łóżku. - Spotkałam wczoraj Jianne. Poszłam wieczorem na koktajl party z Jianne i spotkałam tego człowieka, od którego próbuje uciec. To gad najgorszego rodzaju. Wszechmocny, niemoralny i bardzo przebiegły. Pomyślałam, że gdybym mogła tu zostać jeszcze przez kilka dni, to może udałoby mi się przekonać Jianne, żeby przyleciała ze mną do Singapuru. Wydaje mi się, że to naprawdę dobry pomysł.

- Czy chcesz, żebym przyleciał do Szanghaju? - zapytał Luke cicho, a Madeline poczuła dumę. Był bardzo spokojny, skoncentrowany i gotów na wszystko.

- Bardzo bym chciała, żebyś tu przyleciał, bo tęsknie za tobą. Ale jeśli pytasz, czy masz przylecieć, żeby chronić Jianne, to lepiej nie. Ten człowiek nie uważa mnie za zagrożenie. Na razie. Ale ciebie tak potraktuje, a ma tutaj wielkie wpływy. Łatwiej będzie rozprawić się z nim w Singapurze. Bo on za nią przyleci, Luke, nie ustąpi tak łatwo.

- Nie wolno ci narażać się na żadne niebezpieczeństwo, Madeline.

- Dobre sobie - przerwała mu. - I kto to mówi. Witaj w moim świecie, wojowniku. Przy najbliższej okazji pokażę ci mechanizmy obronne, których się nauczyłam, gdy ty rozbrajałeś głowice na Guam. Jeden z nich polega na tym, żeby wierzyć całym sercem, że wiesz, co robisz i jesteś najlepszą na świecie osobą do tej pracy.

Odpowiedziało jej milczenie.

- Teraz jesteś na mnie zły - westchnęła.

- Madeline - powiedział Luke przez zaciśnięte gardło. - Po prostu wróć do domu bezpiecznie. Zadzwoń, kiedy tylko znajdziesz się w samolocie. Rozumiesz? Wyjadę po ciebie na lotnisko. Nie ryzykuj niepotrzebnie. Jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, to zadzwoń, a ja po ciebie przylecę.

- Dlaczego mam ochotę zasalutować? - mruknęła i odłożyła słuchawkę.

Przymknęła oczy. Powinna spróbować się przespać. Była bardzo zmęczona. Poczowała powiew ciepłego powietrza dżungli i usłyszała odległy ryk tygrysa.

Dwa dni później Madeline i Jianne wylądowały na lotnisku w Singapurze. Czekali już na nie kuzyni Jianne, synowie Bruce'a Yi. Natychmiast poprowadzili ich do mercedesa, w którym czekał już szofer. Traktowali Madeline z wyraźnym szacunkiem, wdzięczni, że udało jej się wyciągnąć Jianne z Szanghaju. Wszyscy razem odprowadzili Madeline do drzwi jej mieszkania.

- Masz te numery telefonów, które ci dałam? - zapytała Madeline Jianne. - To numer Luke'a i numer do dojo. Komórka Jake'a i moja. Masz je nie tylko w telefonie, ale też na kartce. Tak? I nauczysz się ich na pamięć.

- Po raz tysięczny obiecuję, że tak.

- Jeśli będziesz potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, dzwoń - powtórzyła Madeline raz jeszcze i uścisnęła dziewczynę.

- Oczywiście - odrzekła Jianne z uśmiechem.

- A jeśli będziesz kiedyś miała ochotę wyjść z kimś na kolację albo do kina, to zadzwoń do mnie.

Jianne zapewniła ją, że to zrobi.

Gdy wreszcie została sama, Madeline wzięła prysznic, wysuszyła włosy, nałożyła makijaż i stojąc przed otwartą garderobą, zadzwoniła do Luke'a.

- Wróciłam - stwierdziła spokojnie. - Udało nam się złapać wcześniejszy samolot. Kuzyni Jianne wyjechali po nas na lotnisko, a teraz stoję w swojej sypialni i zastanawiam się, w co się ubrać.

- Zaraz tam będę. I nie musisz się martwić o ubranie.

Jednakże niektóre chwile w życiu kobiety wymagały starannych przygotowań, i to była jedna z nich. Madeline zaczęła przerzucać wieszaki, szukając czegoś krótkiego i obcisłego. Jedwabna sukienka w kolorze bursztynu chyba była odpowiednia. Bez ramiączek, z suwakiem ukrytym w bocznym szwie. Do tego jedwabne pończochy, podwiązki, buty na wysokich obcasach. Tylko co ma zrobić z włosami? Upiąć czy rozpuścić?

- Halo - odezwał się Luke. - Madeline, proszę. Czy mogłabyś zostawić te ciuchy w spokoju i dokończyć to, co mówiłaś?

- Och, przepraszam. Właśnie zrozumiałam, jakim byłbyś wspaniałym ojcem. Uświadomiłam sobie, jak bardzo starałbyś się chronić swoje córki.

- Bennettowie nie płodzą córek - stwierdził stanowczo. - Robimy tylko chłopców.

- Nie. Yun powiedziała, że nasze pierwsze dziecko to będzie dziewczynka, a dopiero potem chłopcy. Luke? Jesteś tam jeszcze?

- Nie wychodź z tej garderoby - mruknął.

- Ale Yun nie ma w domu. Ktoś przecież musi ci otworzyć drzwi. O, i jeszcze jedno. Luke, przyjeźdź windą.

Piętnaście minut później Luke stał w holu budynku, przyciskając guzik windy. Zjechała na dół pusta i bezszelestnie poniosła go na górę.

W kieszeni miał pierścionek. Biały brylant bez skazy, w platynie i otoczony szafirami. Jego szwagierka Erin przyjęła zlecenie, wysłuchała nieskładnego opisu, jak ma wyglądać pierścionek i zrobiła go dokładnie tak, jak wymarzył sobie Luke.

Madeline czekała niespokojnie w bursztynowej sukience. Gdy wreszcie winda wjechała na górę i drzwi rozsunęły się powoli, zobaczyła Luke'a. Stał oparty o tylną ścianę, z głową odrzuconą do tyłu, z rękami na poręczy, a w jego oczach błyszczało pożądanie.

Opuściła wzrok niżej, tam gdzie dama nie powinna spoglądać, i uśmiechnęła się szeroko.

Wiedziała, że od tej chwili jej życie zmieni się nie do poznania. I wiedziała, że nigdy nie będzie żałowała swojej decyzji.

